

**GABRIELA
ZAPOLSKA**

KAŚKA

KARIATYDA

Gabriela Zapolska

Kaśka Kariatyda

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553418

Kaśka Kariatyda: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Kaśka Olejarek, prosta, naiwna dwudziestolatka o postawie i urodzie antycznego posągu-podpory, trafia na służbę do państwa Budowskich. Szybko okazuje się, że małżeństwo jej nowych pracodawców nie jest idealne, a ich intrygi i wzajemna niechęć wpływają na życie reszty domowników. Kaśka zakochuje się w stróżu i z biegiem czasu coraz bardziej wikła w panujące wokół niezdrowe stosunki. Nieświadomie przyczynia się do własnego upadku. Czy zdoła, niczym prawdziwa kariatyda, utrzymać ciężar, który spadł na jej barki? A może padnie ostatecznie ofiarą mieszczańskiego zakłamania i własnych namiętności? Kaśce Kariatydzie, podobnie jak wielu innym powieściom naturalistycznym, od początku towarzyszyły liczne kontrowersje. Silne emocje budziły tak drastyczna tematyka, jak i krytyka mieszczańskiej moralności. Gabriela Zapolska (właściwie Maria Gabriela Janowska) słynęła z dzieł naturalistycznych i zaangażowanych społecznie. Oprócz prozy pisała też utwory dramatyczne, m.in. *Moralność pani Dulskiej*.

Содержание

Przedmowa	4
Конец ознакомительного фрагмента.	122

Gabriela Zapolska

Kaśka Kariatyda

Przedmowa

*„Pisz, coś widział —
Pocziwość prawdy się nie lęka”,*

Ignacy Krasicki

W tych kilku słowach cała moja obrona. „Pocziwość prawdy się nie lęka!” Jak wielka to myśl, jaka niezwalczona! Dlatego stawię ją jako straż przednią, niech ona wita każdego, kto roztworzy tę książkę. Pocziwość prawdy się nie lęka, więc śmiało, Czytelniku lub Czytelniczko, podajcie mi rękę i zajrzyjmy wspólnie do tych nędz wielkich, do tych nieszczęść kończących się zbrodnią, do tego **kału** – według wyrażen naszych dobrych znajomych... Nie bój się, kobieto, czytaj śmiało te karty, kał nie dotknie twej białej szaty, bo tylko brud lgnie do brudu, a chorzy boją się ran swoich.

Niedola takich jak Kaśka istot, ich stopniowy upadek, na koniec śmierć – toć nie kał, nie brud, lecz prawda tak wielka, że jak promień słońca przedziera się przez tajemniczą zasłonę, jaką by fałszywi pocziwcy osłonić ją chcieli.

Tuż obok Ciebie może jest taka Kaśka, walcząca z pokusami świata, ciemna, nieświadoma, pełna najlepszych chęci, ale i najgorszych, wrodzonych już instynktów. Ta istota cierpi, walczy, wyciąga nieraz ramiona, szukając bezwiednie punktu moralnego oparcia, i nigdzie nie znajduje podpory i rady, żaden głos ją nie pokieruje, nikt nie zapyta, co jej dolega. Czyż od chlebobawczyni swej ma prawo żądać tylko łyżki stawy i regularnej zapłaty? Czyż po zgotowaniu rosołu i uprasowaniu bielizny taka Kaśka przestaje istnieć dla swej pani? Wszak to kobieta, kobieta taka sama, jak i Ty, piękna Czytelniczko, ale ileż od Ciebie nieszczęśliwsza! Sponiewierana, rzucona na bezdroże, bezustannie pracująca jak wół w jarzmie, upada wreszcie, nie umiejąc zaczerpnąć w sobie samej siły do odparcia pokusy. I gdyby na tym był koniec! Ależ nie – upadek takiej kobiety ciągnie za sobą cały szereg nędz, a często i zbrodni. Wszak największy procent dzieciobójczyń dają służące. Jest to fakt stwierdzony. Dlatego to podjęłam tę niewdzięczną pracę. Wiele już musiałam przecierpieć od ludzi małej inteligencji i jeszcze mniejszego serca. Według nich jedynie chęć rozgłosu skłania mnie do pisania „Kasiek” i „Małaszek”. Dziwią się, że kobiety nie wahają się odsłonić najstraszniejszej nędzy innych kobiet i zawołać wielkim głosem: „Patrzcie! W ten sposób konają istoty, za którymi gonicie, odbierając im krasę, młodość, a dając im w zamian nędzę i cierpienie!”. O, zaprawdę! pocziwy prawdy się nie lęka. Ten, kto nie ma na sumieniu zgonu takiej „Kaśki”, śmiało przeczyta ją do końca. I te „studia położnicze”, jak nazwał

moją powieść pewien brukowy świstek, może pozostawia w jego umyśle trwalsze wspomnienie niż stosy romansów bezcelowych, tworzonych w niezdrowej woni źle umeblowanych buduarów, które jako główny cel mają do wykazania, że kobiety owijają się w jedwabie i mają niezmiernie długie rzęsy, a mężczyźni – wyniosłe czoła i masy pustych frazesów w ustach. Dlatego to ludziom „pocziwym” polecam śmiało moją biedną *Kaśkę*. Czytajcie ją sercem, tak jak ja ją sercem pisałam. Niech was forma zbyt szczerą nie trwoży. Wszakże to nasz Skarga powiedział: „prawda, jak uczciwa niewiasta, w lada sukni piękna jest i przyjemna; nieprawda jako nierządnicą słowa się przybiera i muszcze¹”. Niech Was także nie dziwi rodzaj sentymentalizmu wiejący chwilami z tych kartek. To „prawda” także, to życie, tak jak ono jest, z tym, co nam daje pięknego i nędznego, z poezją i prozą swoją. Ja biorę wszystko, co jest pod ręką, a skarby to nieprzebrane, tkane czarną i złotą przędzą. Nie naśladowuję nikogo, choć mi i plagiaty zarzucono. Spisuję to, co zobaczę, to co mi w serce się wgryzie nędzą swoją lub ukołyszczym czarem prawdziwej poezji. Oryginalnością rozgłosu nie pragnę się dobić, bo smutny to rozgłos, gdy najlepszą myśl źli ludzie spaczają i brudną duszą szukając brudu, jedynie tylko formę widzą, o treść i cel nie pytając się nawet. Czyż ta osławiona *Nana Zoli* nie tłumaczy swego istnienia tym jednym krzykiem: „á Berlin!” kończącym cały ten tak zohydżony romans? *Nanę* usprawiedliwił upadek Francji, moją biedną *Kaśkę* niech uniewinnią trupy dzieci

¹ *muszcze* – dziś popr. forma 3 os. lp: muska. [przypis edytorski]

znajdywane prawie codziennie. Wiem, że w oczach tych ludzi, którzy zwykli wyszukiwać we wszystkim kału i bezwstydu, nawet trup dziecka zgłodzonego przez własną matkę łaski nie znajdzie, – ale o zdanie takich jednostek, które lubią prawdę nakręcać do swych upodobań, które w *Nanie*, zamiast szczytniej przewodniej myśli francuskiego pisarza, widzą tylko nagie ciało i zakrywają przed nim obłudnie przygasłe od rozpusty oczy – o zdanie takich ludzi nie dbam wcale. Nie piszę dla nich, piszę dla „pocziwych”, bo ci się „prawdy nie zleknią”.

Gabriela Śnieżko-Zapolska

Dnia 18 lipca 1887 r. Warszawa

*„I choćby z krzykiem rwał włosy na głowie,
Nikt się – co robi, jak żyje – nie spyta.
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie –
Wolny najmita!”*

Maria Konopnicka

„Stajała przed bramą i buła piskate!...” – kończyła pani domu, spoglądając z niechęcią na książkę służbową.

– Nieszczególna rekomendacja – dodała po chwili, zamykając książeczkę, i usiadła na wyplatany krześle, jedynym możliwym meblu z rozlicznych sprzętów przepelniających ciasną i ciemną kuchenkę.

Była to niska, młoda jeszcze kobieta, rozlana w swym niebieskim szlafroku, z głową zgniecioną, płaską, pokrytą

włosami żółtymi. W ciemnej przestrzeni kuchennej jaśniały te włosy światłem matowym, łącząc się dość harmonijnie z żółtawą cerą twarzy i oczami barwy niepewnej. Uszy tłuste, leniwe, niezdrowe, obciążone ku szyi ciężarem czarnych lawowych kolczyków i usta wąskie, blade ukrywały równie blade dziąsła i świadczyły dostatecznie o niedokrewności tej masy ciała, rozrastającej się wśród wilgotnych ścian szczupłego mieszkania. Całe bezczynne życie żon urzędników płynęło leniwą falą pod tą skórą żółkłą, przezroczystą i delikatną jak gaza jedwabna. Tylko usta zaciśnięte, prawie zsiniałe od wilgoci spadającej z murów, tylko ręce płaskie, o pełnych dłoniach i oczy niewielkie, ciężkimi przysłonione powiekami, miały jakieś drganie, zdradzały ukrytą namiętność pantery – właściwą kobietom anemicznym, których życie, wbrew higienicznym przepisom, upływa wśród atmosfery sąsiadującej z kuchnią sypialni.

– Nazywasz się?... – pytała dalej pani domu, a głos jej leniwy, tłusty, rozlewał się wśród cienia jak ona sama i drgał długo wśród fal powietrznych, przeciągając się bez końca.

Stojąca przy drzwiach dziewczyna podniosła głowę.

– Nazywam się Kaśka Olejarek – odpowiedziała lękliwie, a głowa jej opadła natychmiast na piersi.

– Masz rodziców? – ciągnęła dalej indagację² pani domu.

Po twarzy Kaśki przemknęło coś na kształt smutku... Nie odpowiedziała wcale.

² *indagacja* – przepytывanie, badanie, śledztwo. [przypis edytorski]

Woźny z kantoru, mały, niepokazny człowiek, ubrany w szary surdut beżowy, uznał za stosowne wmieszać się do rozmowy.

– To jest sierota, proszę wielmożnej pani... Nie ma nikogo... Niedawno przyszła do miasta... Była tylko w jednym obowiązku u państwa Lewi...

– U Żydów! – przerwała pani, a usta jej wykrzywiły się z pogardą.

Nastąpiła chwila milczenia. Woźny umilkł, przygnieciony antysemickim usposobieniem pani, a Kaśka nie dodała nic na swoje usprawiedliwienie, tylko jeszcze więcej pochyliła głowę.

W umyśle jej przesuwano się tysiące przykrych myśli. Odprawiona wczoraj nagle, prawie bez powodu, od Pinkusa Lewi, znalazła się na bruku; mając zaledwie dwa złote w kieszeni. Nocleg znalazła u swej przyjaciółki, Rózi, posługującej w mleczarni, ale nadużywać gościnności tej nie mogła.

Rózia żyła „na wiarę” z czeladnikiem krawieckim. Para ta miała tylko jedną izdebkę, a obecność mężczyzny żenowała Kaśkę. Budziły się w niej nieokreślone pragnienia, a dziwny przestрах ścisnął jej serce... Nie! ona tam stanowczo więcej nocować nie mogła. Cóż pocnie, jeśli ta pani nie zechce przyjąć jej natychmiast? W tej chwili ciemna i smutna kuchenka przedstawiała się w oczach dziewczyny jak port bezpieczny i cichy, a brudny sufit zdawał się jej być pożądanym dachem, pod którym pragnęłaby złożyć swą głowę.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda – rzekła pani, rozbierając wzrokiem sformowane kształty dziewczyny.

– Mam lat dwadzieścia – odpowiada Kaśka, a jej ręce spracowane i czerwone zaciskają się ruchem nerwowym pod fałdami szarej, zniszczonej chustki.

– Przysuń się bliżej, pragnę cię zobaczyć – mówi pani, podnosząc się z krzesła.

Kaśka stoi nieruchoma, z plecami przyciśniętymi do ściany.

Następuje interwencja woźnego.

– Idź, głupia, kiedy cię wielmożna pani woła.

Kaśka postępuje kilka kroków i staje na środku kuchni w wąskiej strudze światła, którą wlewa ukośne okienko wciśnięte w długą framugę.

Olbrzymia postać dziewczyny rysuje się w tej jasności, potęgując się jeszcze w porównaniu do innych, niknących w cieniu przedmiotów. Duża, silna głowa, złączona z kością pacierzową szerokim karkiem, pokryta ciemnym włosiem i naprzód pochylona, ma w swym kształcie coś posagowego, pewne podobieństwo do tych starożytnych niewolnic, przeznaczonych do noszenia na głowie ciężkich, winem napełnionych amfor. Czoło niskie, gładkie, przecięte ciemnymi liniami brwi, nos prosty, nieruchomy, trochę w nozdrzach zgrubiały, usta świeże, zęby zdrowe, równe, podbródek okrągły – wszystko to rozjaśnione wielkimi, piwnymi źrenicami, tworzy całość miłą i pociągającą. Na tej kształtnej twarzy, szerniejszej od wichru i gorąca, widnieje dobroć nieograniczona, wiara w drugich i słodycz bezmierna. Olbrzymie, wypełnione ciałem ramiona, kształtne, choć zbyt

silne zakreślenie gorsu, szerokie, ciężkie kończyny tworzą z tej dziewczyny typ zwierzęcia roboczego, przeznaczonego do dźwigania ciężarów i tak zwanej „grubej” domowej roboty. Jest to wspaniałe zdrowe ciało o pospolitych, śmiałych konturach, materiał na matkę liczego rodu, który odznaczałby się niewątpliwie nadzwyczajnym zdrowiem, wzrostem olbrzymim i siłą zwierzęcą. Mimo tej męskiej prawie wysokości i pleców rosnącego mężczyzny, Kaśka jest kobietą w całym tego słowa znaczeniu. Zwykle zbyt silne, wybujałe kobiety zatracają w sobie powaby niewieście i obnoszą swe niekształtne formy mieszaićców z niezgrabną śmiałością urlopowanych żołnierzy. U Kaśki, przeciwnie, cały wdzięk kobiecy pozostał pomimo nadzwyczajnego rozrośnięcia się kości, a ciało jędrne, młode, pełne świeżości dziewiczej, pokrywało szkielet i wypełniało go dokładnie. Jest to klasycznie zbudowana kobieta z gminu, gruba w pasie, na szerokich stopach – mimo to pełna wdzięku i łagodnej nieśmiałości. Głos wychodzący z tych szerokich piersi jest harmonijny, dźwięczny i cokolwiek drżący. Jest to raczej głos drobnej, szczupłej blondynki, zabłąkany w piersi tej wysokiej, tęgiej, ciemnookiej kobiety.

Pani domu przypatruje się z zadowoleniem olbrzymiej dziewczynie zaślaniającej plecami ćwierć kuchennej przestrzeni. Jakkolwiek świadectwo pana Pinkusa Lewi mówi wyraźnie, że „stajała przed bramą i buła piskate”, pani nie chce wierzyć „Żydom” i przyjmuje Kaśkę do służby. Taka tęga dziewczka! Sama będzie nosić wodę, nie potrzeba więc płacić

posługaczki... I skąpstwo polskiej gospodyni przemaga trwogę przed „piskowaniem” Kaśki. A zresztą czyż podobna, aby ta dziewczyna tak cicha, pokorna pomimo swych olbrzymich kształtów, pełna wdzięku łagodnego mogła mieć wadę zuchwalstwa?

I ku ogólnej radości obwieszcza pani monotonnym swym głosem, że przyjmuje Kaškę do służby. Potem poucza nową sługę o froterowaniu podłogi, noszeniu wody i węgla, praniu, prasowaniu i wszystkich obowiązkach, jakie spaść mają na plecy dziewczyny.

Kaška stoi nieruchoma, z okiem utkwionym w brudną podłogę kuchni. Wie tylko, że ma gdzie zasnąć i przenieść swój ubogi kuferek. Reszta ją nie obchodzi; praca jest zawsze pracą, czy tu, czy u Pinkusów Lewi. Nie rozumie nawet, po co ta pani mówi tyle... Przecież ona nie uchyla się od żadnego obowiązku!... Pani podaje jej zmięty papierek guldenowy i żąda w zamian tak zwanego fantu. Kaška wyciąga spod chustki złożoną starannie wełnianą spódnicę koloru fioletowego, przybraną plisami ze zrudziałego welwetu. Pani bierze fant i upomina Kaškę, aby się stawiła najdalej za godzinę do służby.

Kaška przyrzeka, całuje pokornie rękę swej przyszłej chlebodawczyni i wychodzi wraz z woźnym z kuchenki. Wychodząc, uderza się czołem o niskie drzwi i stoi przez chwilę w ciemnej sionce, ściskając w ręku otrzymany przed chwilą guldena. Przed nią majaczy drobna postać kantorowego, który po omacku stara się znaleźć poręcz od schodów. Znajduje ją

wreszcie i woła na opóźniającą się dziewczynę. W gorącym zaduchu, pełnym kurzu i stęchlizny, wiją się kręcone schody, tak zwane „kuchenne”, popsute, otulone ścianą posmarowaną węglem i szerniałą od dymiących lampek naftowych, którymi służące rozjaśniały wieczorem ciemną i wąską przestrzeń. Woźny, klnąc, nasuwa czapkę i rozpoczyna karkołomną wędrówkę, trzymając się mocno skrzypiącej poręczy. Kaśka idzie za nim szybko, otwierając oczy, pragnąc się w ten sposób przyzwyczaić do panującej w klatce schodowej ciemności. Słabe, na wpół spróchniałe deski, uginają się prawie pod olbrzymią stopą dziewczyny, spadającej ciężką masą w równych odstępach; schodzi na dół, nie licząc nawet pięter, uspokojona o swą przyszłość, pełna wiary i otuchy w miłosierdzie boskie. Pani wydała się jej uosobieniem piękna i dobroci po brzydkiej, wrzaskliwej pani Lewi, która kazała się „szanować” i przeglądała ustawicznie w miedzianych rądlach lub samowarze. I Kaśka na samą myśl lepszego słowa lub pochwały z ust tej ślicznej pani dostaje jakby zawrotu w głowie i ciśnienia w gardle. Schodząc na dół, myślała więc, jak będzie się starać, aby zasłużyć na tę pochwałę, jak będzie pracować całymi dniami i nocami... Nagle zaciskają się jej oczy pod wpływem żółtawego światła, które zajaśniało na zakręcie schodów. Nie jest to przecież już światło słoneczne, ale mdły płomień świecy łojowej, osadzonej w latarce i niesionej przez młodego mężczyznę ubranego w szarawą bluzę i długi fartuch płócienny.

Woźny, uszczęśliwiony z wypadku rozjaśniającego mu dalszą

część klatki schodowej, spuszcza się czym prędzej na dół – na wąskim przejściu pozostaje sama Kaśka naprzeciw młodego mężczyzny niosącego w ręku latarkę. Ze zwykłą nieśmiałością przyciska się do ściany, pragnąc zostawić jak najszersze miejsce nadchodzącemu człowiekowi.

Pomimo jednak jej dobrych chęci, szerokie jej ramiona zabierają wiele miejsca i mężczyzna mimo woli zmuszony jest otrzeć się o nią, aby przejść dalej.

– Ihi, diabeł tu łązi? – pyta niezbyt uprzejmym tonem, podnosząc w górę latarkę.

– To ja, Kaśka – odpowiada dziewczyna, oblewając się rumieńcem.

On przecież nie rumieni się wcale, ale owszem, śmieje się, pokazując w tym uśmiechu dwa rzędy zdrowych, białych zębów, jest to stróż kamieniczny, młody, przystojny chłopak, śpieszący na strych, aby tam z rozkazu gospodarza, obejrzeć popsuty dach. Dach nie ucieknie, a dziewczyna jest wcale ponętna. Patrzy więc na nią, szczęśliwy z jej zawstydzenia, ciśnie ją do muru z wyrachowaniem pełnym nagle obudzonej namiętności. Ona, odurzona, pełna bezwiednej trwogi, ustępuje na próżno, starając się uwolnić od dotknięcia chłopaka, którego widok i obecność miesza ją niewypowiedzianie. Ta wielka, dwudziestoletnia dziewczyna, świadoma tajemnic życia, które zna tylko z opowiadania swych przyjaciółek lub przeczuć, ucieka zwykle przed podobnym sam na sam, które gorącym warem żyły jej zalewa. Ona pamięta o tym, że może pójść za męża,

więc pragnie dobrze się prowadzić. Dlatego z takim wysiłkiem chce wyrwać się z przypadkowego sąsiedztwa, bo obecność tego uśmiechniętego chłopca jest dla niej nad wyraz ciężka i przykra. On wszakże nie pozwala jej postąpić dalej, zagradza jej drogę.

– Co panna tu robi? Skąd panna wraca? Ja jestem stróż, muszę więc wiedzieć o wszystkim... Nie puszczę! Jak Boga kocham, nie puszczę...

Kaśka doznaje dziwnego ściśnienia w gardle. Ten młody, wesoły głos, rozlegający się czystą, dźwięczną gamą szczerego śmiechu, wzbija się w wąską, ciemną przestrzeń i spada na jej schyloną głowę odurzającą kaskadą. Z natury nieśmiała dziewczyna traci zupełnie przytomność wśród tej dusznej, gorącej atmosfery i z bezwładnością dziecięcą opiera się o ścianę.

Mężczyzna widzi jej przestach i przybiera ton uspakajający.

– No! Czegóż bo się strachać? Ja panny nie ugryzę, ani do becyrku nie zaprowadzę. Pytam: skąd i po co? Należy odpowiadać.

Milczenie. Kaśka, coraz bardziej przyciskana do ściany, czuje gorący oddech młodego chłopaka i z przestachem kryje głowę w ramiona. Ten gorący oddech robi na niej wrażenie oddechu rozjuszonego zwierza, dlatego z instynktem zachowawczym broni się przed nim, jak umie i może.

– Gdyby panna nie powiedziała, co się nazywa Kaśka, myślałbym, że panna niemowa, ale teraz myślę inakszej, i nie puszczę, jakem Jan Viebig, dopóki panna nie przemówi i nie da buziaka.

Mówiąc te słowa, stróż podnosi wyżej latarkę i oświeca twarz Kaśki, a korzystając z obezwładnienia dziewczyny, jedną ręką obejmuje jej kibić i przysuwa do siebie.

– No – mówi dalej – powie panna, co tu robisz?

Kaśka usiłuje zebrać myśli. Czuje, że jeżeli nie odpowie na zadawane jej pytania, młody chłopak nie puści jej tak prędko, a jedynym jej dążeniem jest wyswobodzić się z tej sytuacji.

Jan Viebig z prawdziwą rozkoszą patrzy na zmieszanie dziewczyny.

Rosła kobieta, pełna życia i siły, drży w jego ręku jak najnędrniejsze stworzenie. Z rozkoszą prawdziwą przypatruje się jej szyi i bogatym liniom gorsu, bo jak żyje nie widział takiej dziewczyny. Mdłe światło łojowej świeczki nie może dokładnie oświecić tej wspaniałej postaci, ale Jan odgaduje instynktem i milknie zdziwiony na widok tej kobiety. Zwykłe jego konkiety³ były to dziewczęta krępe, płaskie, czerwone, prawie zawsze małego wzrostu i nie dawały mu dokładnego wyobrażenia o podobnej doskonałości. W tej chwili stoi przed kobietą według jego pojęcia doskonałą, tak pod względem form, jak i karnacji, choć w mdłym oświetleniu nie może dojrzeć dokładnie właściwego koloru jej włosów ani cery twarzy.

Porwany brutalną potęgą, chwyta jej spuszczone głowę i zbliża swe wargi do ust dziewczyny.

Kaśka nie odpycha go wcale, bo czuje, że jej sił zabraknie, ale

³ *konkieta* (z fr. *conquête*: zdobycie, zdobycz) – sukces w zalotach, podbój miłosny.
[przypis edytorski]

drżącym, cichym głosem prosi łagodnie.

– Proszę was, dajcie mi odejść! Proszę...

I tyle gorącej modlitwy drga w tym cichym szepcie, taka bezmierna trwoga bije z jej rozszerzonych źrenic, że Jan cofa się z wolna przed tą istotną niewinnością, która siłą nie umie, czy nie chce się bronić, a potężną osłonę znajduje tylko w serdecznej, szczerzej prośbie kobiecej.

– Dajcie mi odejść.

Kaśka wyrzekła te słowa. Dodała jeszcze „proszę”, a ta cicha prośba była stokroć silniejsza od wszelkich gwałtownych walk, jakie nieraz staczały z nim inne kobiety z tej sfery, w której się obracał. Ta olbrzymia dziewczyna nie użyła pięści dla swej obrony, pomimo że pod względem siły mogła się z nim mierzyć. Ona zdała się na jego łaskę i prosi pokornie o litość nad jej słabością. Tym wdziękiem kobiecym, tą pokorą przed przewagą męską zwalczyła go bezwiednie i ukoїła wzburzone jego zmysły. Prosta, głupia, prawie zwierzęca natura uległa w milczeniu przed wyższością tej dziewczyny, różniącej się tak zewnętrznymi kształtami, jak i sposobem zachowania się od innych kobiet, które Jan w swoim życiu spotykał.

Zawstydzony prawie usuwa się na bok w milczeniu i tylko podniesioną w górę latarnią oświeca ciągle twarz dziewczyny, która drżącą ręką zapina rozerwany koło szyi kaftanik. Wśród tego żółtego pasma bijącego przez potłuczone szyby latarni spotykają się nagle ich oczy. Źrenice dziewczyny ciemne, łagodne, pełne łez, i oczy mężczyzny niebieskie, płonące od

tlumionej namiętności. Przez chwilę obydwie pary oczu toną w sobie z dziwnym, nieokreślonym uporem i śmiałością ze strony dziewczyny. Nagle światło przygasa, migoce kilkakrotnie jak wzrok konającego i – świeczka gaśnie, Kaśka, Jan, ściany, schody, wszystko ginie w ciemności; ale dziewczyna teraz się nie lęka. Może być sto razy ciemniej, ona wie, że krzywdy nie dozna żadnej.

I otulając się w chustkę, prosi swym rzewnym słodkim głosem:

– Pomóżcie mi zejść, bo nic nie widzę, a schodów nie znam.

On, z uległością zbitego zwierzęcia, czyni zadość jej żądaniu i schodzi pierwszy, prowadząc ją z dziwną delikatnością.

Wśród ciemnych, wąskich ścian, pomiędzy którymi wiją się schody, słyhać tylko odgłos ich ciężkich kroków i przyśpieszony oddech Jana. Gorący zaduch owiewa mu rozpaloną głowę i wpada do płuc. W dłoni swej czuje grubą, szeroką rękę dziewczyny, drżącą jeszcze nerwowo, a drganie to sprawia mu przykrość nieokreśloną. W tej chwili zdaje mu się, że ona jest bardzo drobnym, małym stworzeniem, które przeraził swą brutalną napaścią i które pragnąłby przeprosić za uczynioną przykrość. A ona idzie wolno, wsłuchując się w jego oddech, którego gorące uderzenia czuje jeszcze na swej rozpalonej twarzy. Postępuje jednak za nim uspokojona i pewna jego uczciwości.

Gdy nagle weszli do jasnej sieni, wśród której gorące promienie słoneczne rozpościerały się z całą brutalnością

śródlecia, doznali oboje olśnienia. W ostrym blasku słonecznym Kaśka olbrzymiała jeszcze i stała przed nim w całej potężnej piękności rozwiniętej kobiety.

Wszystkie postanowienia Jana, powzięte wśród ciemności, co do uzyskania przebaczenia, pierzchły od razu na widok szerokich ramion i wspaniałych rozmiarów dziewczyny.

Tam, na górze, w wąskim schodowym przejściu zdawała mu się Kaśka drobnym, drżącym stworzeniem. Gdy ją sprowadzał na dół, nikła mu w ciemności; czuł jej szorstką rękę w swej dłoni i słyszał stąpanie. Tu, w blasku dziennym jaśniej przed nim niezrównanym blaskiem urody, świeżości i piękną kształtów. Pomimo nadzwyczajnej swej śmiałości i znanej odwagi do kobiet, czuje on się teraz wobec tej pięknej dziewczyny nieśmiały. Pragnie coś przemówić, aby choć częściowo naprawić swój błąd i dać jej lepsze o sobie wyobrażenie. Ona powróciła już zupełnie do swej równowagi moralnej, w oczach jej nie widać śladu gniewu, tylko jakiś żal migoce. Czuje ona, że gniewać się nie powinna. Młody chłopiec spotkał ją w ciemnym przejściu i próbował szczęścia. Nie jego to wina: gdyby inne dziewczęta nie upadały z taką łatwością, nie byłby przecież tak śmiały. Zresztą nie stało się nic złego.

I serdecznym, miłym swym głosem dziękuje mu za sprowadzenie z niewygodnych schodów i wskazanie drogi.

– Przyszłam frontowymi – odpowiada, patrząc zawsze w ziemię. – Pani zaprowadziła nas do kuchni, woźny poszedł pierwszy, a ja nie wiedziałam, gdzie jestem i co robię... Nie lubię

ciemnicy.

Jan dorozumiewa się, że to służąca, zgodzona do państwa z trzeciego piętra.

– To panna będzie służyć u tych... z majstratu? – pyta, wykrzywiając się pogardliwie i odzyskując powoli rezon utracony.

– Zdaje się, że pan jest w majstracie – odpowiada Kaśka – zgodziłam się do wszystkiego.

Wyraz twarzy Jana stawał się coraz pogardliwszy⁴.

– Oj, to ci panna trafiła! Takie państwo...

Kaśka podniosła spuszczone powieki i utkwiała w mówiącego zdziwione oczy. Dla niej „państwo” było zawsze „państwem”, rodzajem półbogów, o których nie mówi się inaczej, jak tylko z uszanowaniem.

Gdyby nie „państwo”, umarłaby przecież z głodu; płacono jej, żywiono, pozwalano spać cztery godziny na dobę, a w Wielką Sobotę chodzić na boże groby. Swojej ciężkiej pracy nie liczyła wcale. Przecież musiała coś robić. Siedzieć z założonymi rękami mogły tylko panie, a zresztą nie pragnęła tego wcale. I w bezmiernym zdziwieniu patrzy na stojącego przed nią stróża, który z taką pyszną pogardą krzywi swe wydęte wargi, mówiąc: „Takie państwo! Takie państwo!”.

Nie przerywa wszakże i czeka dalszego wyjaśnienia, które otrzymuje niebawem w następującej formie:

– Widzi panna, jest państwo i państwo. Tu, na ten przykład,

⁴ pogardliwszy – dziś popr.: bardziej pogardliwy. [przypis edytorski]

na pierwszym, mieszka pani hrabina ze synem... to jest państwo. A ci z majstratu, co panna do nich idzie, to nie państwo.

Kaśka uznaje za stosowne wtrącić:

– Przecież tak samo regularnie płacą.

Jan kiwa głową.

– Ta, niby. Ale się panna naharuje, zanim tych głupich pieniędzy się dokopie.

Kaśka macha ręką.

– Wszędzie trzeba pracować...

Teraz przyszła kolej na Jana, aby się zadziwił; próbuje więc wytłumaczyć Kaśce dokładniej różnicę między państwem a państwem.

– Ta, pewnie, że pracować trzeba, aleć już niech rozkazuje lajtnant a nie furwez, jak mówił nieboszczyk Szczepaniak. Szkoda, że panna nie знаła Szczepaniaka, bo to był tęgi hułan. Otóż, widzi panna, ta hrabina, to lajtnant, a taka z majstratu, to furwez. Choć ja by tam wołał być panem i rozkazywać, taj do bramy dzwonić. U tych z majstratu bieda aż skrzypi. Ona skąpa, on złośnik. Już tego kwartału dwie zmienili, a bez co? Bez to, że to nie „państwo” – dodał, wracając uporczywie do swego założenia, jak koń w deptaku, wiecznie koło jednego punktu krążący.

Widocznie jednak oboje mieli coś wspólnego w swoim sposobie układania myśli, bo i Kaśka powtórzyła przed chwilą wygłoszoną filozoficzną sentencję:

– Wszędzie trzeba pracować.

I z całą niedbałością silnego zwierzęcia wstrząsa potężnymi barkami, jakby z niecierpliwości i pożądania tej pracy, która ma spaść na nią równocześnie z przyjęciem nowych zobowiązań. Jan patrzy na nią z uwielbieniem.

– Panna silna, prawda? – zapytuje po chwili.

Za całą odpowiedź Kaśka uśmiecha się łagodnie, odsłaniając zdrowe i czyste zęby, oprawione w dziąsła różowe.

– To jeszcze dobrze – ciągnie Jan dalej – bo jakby panna była nie przymierzając chyrlawa, to by długo na tym trzecim piętrze nie pociągnęła. Trzeba ciągiem nosić wodę, bo ta... pani to się pluszcze i pluszcze przez końca, posadzkę gładzić, a na wosk skąpią. Oj! Puściłby ja ich w taniec choć raz na rok, to by popróbowali, jak to przyjemnie tak harować od świtu do nocki...

W błękitnych oczach Jana zaświeciła nagle niedobra iskra. Cała nienawiść dręczonego zwierzęcia, które nigdy nie może się wyspać, ozwała się w tym głosie, drżącym od dawno przebudzonej i nurtującej myśli.

Wszystkie noce zimowe, gdy bezlitosny głos dzwonka zrywał go z pośłania i ledwo osłoniętemu kazał biec dla wpuszczania spóźnionych lokatorów, powracających często z nocnej hulanki; wszystkie te senne marzenia przerwane z całą gwałtownością ludzi pijanych lub złych z powodu bezsennie przepędzonej nocy; wszystkie te początki tak zwanych katzenjamerów karnawałowych, które musiał znosić z uległością tresowanego psa, wszystko to wybuchalo w tych kilku słowach: – Oj, puściłbym ich w taniec!

A w tańcu tym przyjąłby udział przede wszystkim pewien fircyk odnajmujący pokój od pewnej starej panny, zajmującej całe drugie piętro, który prawie co noc powracał nad rankiem i wpadał w bramę z hałasem, wrzaskiem, a co najgłośniejsze, bez tradycyjalnej szóstki w rękę. I codziennie w szarawym świetle poranka spotykali się ci dwaj ludzie z jakąś dziwną, niewytłumaczoną nienawiścią w sercu. Elegant, mruczając pod nosem jakąś piosenkę, przebiegał szybko przez bramę i niął w głębi schodów, pozostawiając za sobą niewyraźny szum miejskiej rozpusty, niezastygły jeszcze w fałdach jego ubrania. Jan, zbudzony nagle, zziębnięty, pochmurny, rzucał za nim zawsze wzrokiem pełnym nienawiści.

Ten chłop, to zwierzę domowe, pozornie przyswojone, które w głębi swej natury zachowało całą siłę męską, pragnącą użycia i rwącą się jak koń stepowy poza zamkniętą bramę – gdzieś w dal, w tajemnicze wnętrze miasta, którego niezdrowy, odurzający powiew wpadł w ciężką atmosferę bramy razem z tym fircykiem, bladym od bezsenności i nocnej rozpusty. Fircyk nie cierpiał Jana za długie wyczekiwanie pod bramą, co zwłaszcza w zimie lub dżdżyste noce nie należało do nadzwyczajnych rozkoszy.

– Ach, kanalia! – mruczał przez zęby, zaciskając swój cienki paltocik i kryjąc ręce zziębnięte.

– Ach, kanalia! – mruczał stróż w swej izdebce, przecierając senne oczy – dzwoń, bestio, dzwoń; a bodaj ci tak zadzwoniło przy skonaniu!

Była to głucha, cicha walka dwóch zdrowych ciał w pełni

młodości. Ze strony Jana przeważała zazdrość i chęć niszczenia swych sił w ten tajemniczy a nieznany mu sposób, który instynktem zgadywał; ze strony powracającego późno do domu eleganta – upokorzona duma i złość przeciw niememu świadkowi jego wad i słabości. Czasem piękny kawaler powracał na wprost pijany – wśród ciemności czuł wlepiony w siebie ponury wzrok stróża, co śledził jego skrzywioną postać i drwił z kroków niepewnych. Był to przymusowy powiernik, cichy i milczący pogardliwie, ale zawsze powiernik, co go przyjmował na progu bramy z przykrą surowością, liczył godziny jego nieobecności i prawie odgadywał, ile panicz przegrał w karty i zebrał pocałunków z ust istot oczekujących na zarobek w mdłym świetle latarni.

Ten to elegant miał, według zapatrywań Jana, pierwszy iść „w taniec”. Po nim cała rzesza drobnych lokatorów, których dzieci napełniały wrzaskami wąskie wnętrza dziedzińca; dalej ten z „majstratu”, taki hardy, opryskliwy, pełen źle strawionej żółci; stara panna z drugiego piętra, której psy zanieczyszczały schody; właścicielka norymberskiego sklepiku, garbata i sucha wdowa, i sługi pani hrabiny, głupie, bezczelne dziewczęta z gęsto przystrzyżonymi grzywkami nad wyblakłymi oczami, wygolony aktor zajmujący pokój na dole, który wykrzykiwał dniami i nocami swoje role – słowem, cały ten dom brudny, źle utrzymany, pełen ludzi nędznie odżywianych, chudych, o profilach wydłużonych, których postacie znikwały bez szmeru wśród ciemności zapadającej nocy jak widma wywołane ręką

magika na brudnej, źle oświetlonej scenie.

Wyjątek stanowiła pobożna hrabina wraz ze swoim, również pobożnym, synem. Ci nie poszliby w ów „taniec” nie ze względu na ich klerykalne usposobienie, ale dlatego, że to było „państwo” odpowiadające na pozdrowienie Jana zawsze uprzejmym skinieniem głowy.

W naturze tego człowieka było coś z Ragabasa. Jedwabne słówko głąskało go więcej niż brzęk pieniędzy. Urzędnicy, sklepikarka, aktor, a nawet ów elegant z wiecznie głodnym żołądkiem przesuwali się koło niego ze złym humorem – przeciwnie pani hrabina, gdy po rannej kawie wracała z kościoła na bulion z grzankami, uśmiechała się do Jana słodko i mówiła z uprzejmością matrony chrześcijańskiej:

– Jak się masz, mój pocziwy Janie?

Okrągłe oczy Jana otwierały się szeroko, a twarz rozjaśniał wyraz nieokreślonej błogości. Było mu wtedy tak przyjemnie, jakby mu się coś dobrego prześlizgnęło po gardle.

Jakkolwiek Jan utworzył sobie swą własną religię, do kościoła nie chodził, a księży nie cierpiał, tolerował on przecież aksamitną książeczkę hrabiny i jej długi różaniec z ziarenek kokosowych.

– Grzeczna pani – mawiał, pijąc wódkę w narożnej szynkowni – grzeczna, choć... jezuitka.

Jezuici należeli także do owego „tańca”, który Jan miał na myśli; nienawidził ich, jak w ogóle wszystkich księży. Czarna sutanna wstrząsała nim do głębi. A przecież niewiara i brak szacunku dla duchowieństwa zrodziły się już w późniejszym

wieku, przy trumnie matki, której ksiądz nie chciał „uczciwie” pochować, żądając za „paradę” większej sumy, aniżeli mu Jan mógł wówczas ofiarować. Z tak błahego powodu wybuchnął nagle w Janie płomień niewiary, a wszystkie zasady religijne runęły nagle, gdy zażądano osobnego wynagrodzenia za mowę odczytaną przed eksportacją zwłok matki.

W zdrowym umyśle chłopca powstała nagle wielka jasność. Nie studiując, nie badając, nie stawiając tez teologicznych, doszedł do punktu, z którego wyszedł; to jest, stał się znów małym dziecięciem wierzącym w istność Boga, ale nieświadomym tej mistycznej zasłony, która majestat Stwórcy zasłania. Z pyszną obojętnością odwrócił się wtedy od księdza i rzekł:

– To się obejdzie!

Odrzucił wszystkie formy, a zostawił tylko Boga. Wszystkich księży bez wyjątku przezwał jezuitami, a sam przybrał nazwę „farmazona⁵”.

Z czapką na bakier przekreśloną reformował swych znajomych pomiędzy jedną a drugą blaszanką i uderzał energicznie pięścią w stół, zapewne dla dosadniejszego określenia swych argumentów.

Dlatego, gdy Kaśka, zbierając się do odejścia, rzekła swym słodkim głosem: „Trzeba państwo szanować, bo tak ksiądz przykazuje...” – pociągnął ją gwałtownie za chustkę i wykrzywił

⁵ farmazon (ang. *freemason*; fr. zniekształcone: *franc-maçon*; daw.) – liberał, jakobin, mason; niedowiarek. [przypis edytorski]

usta.

Ale Kaśka nie zwróciła na to uwagi. Miała wrócić za godzinę, a zmarnowała blisko dziesięć minut na pogawędce z Janem.

Pragnie więc odejść jak najprędzej, aby wrócić jeszcze na czas właściwy.

Jan z wielką galanterią ofiaruje się do pomocy przy transportowaniu kufra i pościeli. Kaśka przyjmuje, a rozmawiając, wychodzą na podwórko i stoją tam jeszcze przez chwilę w gorącym blasku słonecznym. Podwórko jest dość szczupłe, opasane z trzech stron murami kamienicy, a z czwartej zupełnie otwarte. Przylega do wielkiego, pustego, trawą zarośniętego placu, za którym w dali widnieje plac musztry i żółte mury, a mającą postacie przebiegających żołnierzy. Wzrok Kaśki błądzi z roztargnieniem po tej szerokiej przestrzeni, przeciętej na prawo zieloną, równą ścianą nasypu kolejowego, wznoszącego się na kształt fortecznego wału.

Nie jest to smutny widok, i owszem, ten ruch miejski i ta zieloność wiejska tworzą przyjemny kontrast, łagodząc się i dopełniając wzajemnie. Mówi więc Janowi z radością w głosie, że lubi drzewa i otwarte pole, a gdy to wszystko zobaczy, to zaraz jej weselej.

Jan przyznaje pewną rację tym poglądom i pokazuje jej bardzo porządną śmietnik, dopiero w przeszłym ukończony tygodniu. Kaśka błądzi wzrokiem od zielonego placu i rozłożystego kasztana do trawy w jasnym świetle skąpanej i do szarych desek śmietnika wznoszącego się po lewej stronie

podwórka z pretensją wystrojonego terminatora.

Zapewne śmietnik taki to rzecz bardzo wygodna, zamykany, tylko że długo trwać nie może. Musi się zepsuć... deszcz, śniegi... Jan zapewnia, że użyto do budowy trwałego materiału i uderza w deski rękami kościstymi. Chwilę jeszcze rozmawiają, a wspomniawszy o schodach kuchennych, nagle zamilkli.

– To bardzo niewygodne schody – mówi Jan i urywa nagle, bo twarz dziewczyny pokrywa gorący rumieniec.

I on doznaje jakiegoś głupiego uczucia, z którego nie umie zdać sobie sprawy. Było to niejasne wspomnienie pierwszego spotkania z tą dziewczyną. Te schody pozostaną dla nich wspomnieniem pierwszego poznania, które zarysowało się niejasno w tym wąskim, ciemnym przejściu i teraz sprowadza im na twarz rumieniec i dziwne zamieszanie w głowie.

Gdy wielka postać Kaśki zniknęła wreszcie w bramie domu, Jan stał jeszcze przez chwilę oparty o ścianę śmietnika, jakby rozbierając doznane wrażenia. Ta duża, piękna dziewczyna zwyciężyła go dzisiaj, a przecież nie dała mu uczuć swego zwycięstwa. Nie śmiała się i nie szydziła, że ją puścił na jej prośbę pokorną. Ale cóż miał robić, kiedy tak miłosiernie patrzyła, że aż go coś pod pierściami ścisnęło. Raz chciał z wysokości trzeciętrowej⁶ zrzucić kotkę, która przybłąkała się do kamienicy i łaziła po strychu. Kotka nie broniła się wcale tylko wywróciła ślepie i patrzyła tak zupełnie jak ta dziewczyna, kiedy ją cisnął do ściany...

⁶ trzeciętrowej – dziś popr.: trzypiętrowej. [przypis edytorski]

Jan myśli sobie: dziwna dziewczyna! Inna na jej miejscu śmiałyby się, bo przecież takie żarty uchodzą, a nawet dziewczęta je lubią. Ale to nie racja. Są tacy, którzy lubią kluski z serem, a są tacy, co klusek nie lubią. Kaśka nie musi lubić klusek.

I Jan zapada w głęboką zadumę mającą na celu bliższe zbadanie usposobienia i słabych stron świeżo poznanej dziewczyny.

Przyjaciółka, która dała dla Kasi na noc przytułek, nazywała się Różia i posługiwała w mleczarni. Czas służby przedstawiał cyfrę czternastu godzin na dobę, resztę miała do rozporządzenia.

Niska, krępa szatynka, z cerą, zda się, pożyczoną od salaterek kwaśnego mleka, które nosiła przez sześć miesięcy w roku, z suknią wiecznie pod prawą pachą rozprutą. Szastała się całe dnie po zakładzie z bezczelną arogancją dziewcząt przemienionych w kelnerów. Jej różowy perkalik, stanowiący rodzaj uniformu dla wszystkich dziewcząt kręcących się po owej mleczarni, miał ten sam nieznośny, impertynencki sposób obcierania się o gości, jak i frak strojący grzbiet wypomadowanego kelnera. Rzucanie łyżek lub chleba, wpatrywanie się w oczy płacącego gościa i tradycyjne „całuję rączki”, czyniło z Rózi typ posługaczki, która sześć miesięcy na rok spędzała w mleczarni, a przez drugie sześć miesięcy uprzyjemniała „gościom” rozkoszny pobyt w tak zwanych nocnych kawiarniach.

Różia była poszukiwana przez właścicieli tych siedlisk głupiej zabawy. Ileż bowiem wesołego żartu mieściło się w tych zielonawych źrenicach! Nie gniewała się za zbyt śmiałe żarty, a

umiała zręcznie pomnażać ilość wypitych butelek. Kariera Rózi była więc na długi czas zapewniona, przynajmniej do chwili, gdy jej młoda twarz przestanie śmiać się tak wesoło wśród dymu cygar i krzyków rozbawionych mężczyzn. Później... Ot, co tam! ... Któż by troszczył się o to głupie „później”. Jest przecież haczyk, a śmietników nigdy nie zbraknie.

Różia zawiązała stosunek z niemłodym czeladnikiem krawieckim, Feliksem. Mieszkali razem, żyjąc „na wiarę”. Pobrać się nie chcieli i nie mogli. Zresztą Feliks był żonaty. W Samborze pozostawił żonę i pięcioro dzieci. Różia wiedziała o tym i w codziennych sprzeczkach wysyłała go „do stu diabłów, do starej żony i kopy dzieci”. On wszakże nie odchodził. Z marmurowym spokojem na bladej twarzy słuchał tego potoku słów, który zalewał codziennie maluchną stancyjkę, pełną gratów, śmieci i słoików z pomadą. Potem zbliżał się do Rózi i jak mógł uspakajał. Ona broniła się chwilę, lecz w końcu poddawała się mimo woli jego pieszczotom.

Łatwo zgadnąć, co przywiązało niską, krępą dziewczynę do człowieka, który mając dwa razy tyle lat co ona, wyzyskiwał jej młodość, a wreszcie marnował jej drobne dochodziki. Nie śmiał jednak naruszyć dwóch listów banku hipotecznego, których niebieskie numera odbijały wyraźnie na tle białego papieru. Drobne pieniądze wybierane codziennie z szufladki stanowiły rodzaj przekąski, przygotowując podniebienie Feliksa do ugryzienia czegoś twardego. Teraz jeszcze nie śmiał wystąpić z projektem spieniężenia listów hipotecznych, jakkolwiek

bowiem ujarzmił zmysły dziewczyny, zrywała się ona nieraz i rzucała, jakby pragnąc potargać krępujące ją węzły – ale na próżno. Gdy wracała do domu z chęcią zerwania i na widok pustej szufladki wybuchała gniewem, Feliks pozwalał wylać się pierwszemu uniesieniu słów trywialnych, pozbieranych w dusznej atmosferze kawiarni, a po upływie pewnego czasu zbliżał się do niej w sposób jemu tylko właściwy. Ona usuwała się, łkając, ale w końcu była bezsilna. Wiązały ją z tym człowiekiem zmysły, a bez pieczyoty jego istnieć by nie mogła. Rano chmurna, milcząca, z głową ociążałą, cała drżąca, szła do swej pracy, przybierając przez drogę uśmiech bezczelnej kelnerki i powracała znów wieczorem pełna siły i gniewu. Żyli tak ciągle, on – marnując pieniądze, ona – młodość i zdrowie. Pokoik, który zajmowali, był cały przesiąknięty jakąś niezdrową, odurzającą wonią. Nigdy niesprzątany, niezamiatany, wyglądał jak wielki śmietnik, wilgotny i ponury.

Feliks zdawał się być gościem w tym mieszkaniu. Rzeczy jego mieściły się w wielkiej skrzyni tuż pod oknem. Było tam wszystko, co komfort mieć przykazuje: stary szapoklak, nawet i biały atlasowy krawat. Różia nie dbała o siebie. Różową swą sukienkę zostawiała w zakładzie, a w zimie chodziła w jednej i tej samej bluzce szafirowej i spódniczce z wytartego kamlotu. Fartuszki tylko prała w misce i suszyła w mieszkaniu. Tego wymagała jej służba. Dla niej fartuch był tym, czym dla kelnera serweta na ramieniu.

Feliks pracował bardzo mało. Twierdził, że jest czeladnikiem

krawieckim – ale u jakiego krawca pracował, sam, zdaje się, nie wiedział. Całe dnie trawił na paleniu „kabanosów”⁷ i naprawianiu swych garniturów. Jadał w garkuchniach. O żonie i dzieciach nie wspominał nigdy.

Kaśka, wyszedłszy z bramy, skierowała się szybko na prawo. Przeszła kilka ulic, usuwając się wszystkim z drogi i oddychając ciężko z powodu gorąca. Kryjąca jej głowę i ramiona chustka wełniana ciążyła jej przykro i przytłaczała ku ziemi. Ponad nią błękitne niebo, aż szarawe w swej przezroczystości. W środku olbrzymie słońce, żółte i okrągłe jak dukat, lejące ze siebie potoki złotego światła. Wszystko niknęło w tej suchej powodzi – dachy domów z rynnami połyskującymi w blasku słonecznym, na placu wodotrysk, zawstydzony prawie ciemną barwą wody w rezerwuarze, kamienną otoczony balustradą i drobne drzewka okalające plac dokoła. Wszystko to błyszczało, pysniło się prawie tą złocistą strugą, płynącą z góry i odbijającą się blaskiem jarzącym w szybach przymkniętych okien, które gorzały wzdłuż murów kamienic jak olbrzymie, promienne świece. I była to iluminacja urządzona w dzień biały z całą bezczelnością natury, świadomej swej potęgi, z rozrzutnością bogacza rozsypującego swe skarby z całym przeświadczeniem o niewyczerpalności tego złota, o wiecznym istnieniu tych blasków promiennych. Kaśka zatrzymała się chwilę i spojrzała na plac jakby olśniona tym bogactwem, które się jej słało pod stopy. Natura to była wrażliwa

⁷ *kabanos* – tu: kubańskie cygaro; od nazwy gatunku cygar Cabanos. [przypis edytorski]

i pojmująca piękno instynktowo⁸. Podniosła głowę i popatrzyła chwilę prosto w tarczę słoneczną. Co też to się w górze tak pali? Skąd się ten ogień bierze?

Przypomniała sobie jednak, że czas ucieka, a nie chciała zasłużyć na naganą ze strony swej przyszłej pani. Szybko postąpiła jeszcze kilka kroków i znalazła się przed parkanem, w którym otwarta furтка prowadziła do wnętrza mleczarni. Tam usługiwała Rózia. Kaśka pragnęła pożegnać się z nią i oddać pożyczone piętnaście centów. Lecz jak tu wejść główną furtką? W małym, kwadratowym ogródku kilka osób pije kawę przy stołach z grubych szklanek zielonawych lub zajada mleko z fajansowych, nadszczerbionych salaterek. Stoły pozastłaniane czerwonymi w białe desenie serwetami stoją równo w szeregi, maczając swe grube, skrzyżowane nogi w żółtym piasku ogródka. Kilka rozwiniętych kasztanów rzuca cień, rozpościerając swe zielone, wachlarzowate liście, przysypane pyłem i nadwiędłe wskutek zbyt wielkiego gorąca. W głębi, za sztachetkami, na podwyższeniu widnieje olbrzymia postać właścicielki zakładu, rodzaj tłumoka złożonego z miękkiego ciała i szarego kretonu. Ta szeroka plama rozlewa się na żółtym tle ściany wznoszącego się w głębi ogrodu budynku. Szara barwa sukni i żółte włosy schodzą się w harmonijnym akordzie z barwą ściany i nikną w niepewnych liniach. Przed właścicielką rodzaj bufetu pokrytego szeroką wstęgą blachy, na której stoją rzędem, do góry dnem poobracane, grube,

⁸ *instynktowo* – dziś popr.: instynktownie. [przypis edytorski]

zielonawe szklanki wnoszące jedną, wysoką nóżkę ze sztywną gracją skoczka cyrkowego. Na wyszczerbionym półmisku bieleje cały stos drobno posiekanego cukru. Cynowe łyżeczki, wytarte od ciągłego dotykania ust rozmaitych, świecące niezdrowym, fałszywym blaskiem, leżą pokotem jak wojsko zakute w stare pancerze, czekające na rozkaz wodza i na apel poranny. Co chwila przybiega dziewczyna i pochyla się nad bufetem, wybierając cukier lub chwytając łyżeczkę. Gruba kobieta nie porusza się wcale. Patrzy na niekształtne palce dziewczyny, przemykające się szybko po powierzchni bufetu i tylko cichym, uprzejmym głosem upomina w razie, jeżeli kelnerka kładzie zbyt wielkie kawałki cukru na małe, podłużne miseczki. Od czasu do czasu wstaje ktoś z gości i podchodzi również do bufetu, płacąc za kawę lub mleko. Właścicielka wysuwa swą tłustą rękę i powolnym ruchem zgarnia pieniądze do otworu, wykrojonego w środku bufetu, po czym zapada znów w bezwładność, a szare, bezbarwne źrenice spoglądają z dziwnym uporem w deski wnoszącego się przed bufetem parkanu. Dziewczęta, szeleszcząc wykrochmalonymi spódnicami, uwijają się pomiędzy gośćmi. Ich ciężkie, niezgrabne, źle usznurowane figury z płaskimi, zgniecionymi piersiami, przesuwają się pomiędzy stołami, często bez najmniejszej potrzeby, chyba dla ruchu, do którego przywykły ich stopy. Kasztany szumią bezustannie, strząsając pył na lśniące od pomady włosy tych kobiet lub na stosy razowego chleba poukładanego na każdym stole w drucianych koszyczkach.

Kaśka stoi we drzwiach, nie śmiejąc postąpić kroku. Widzi doskonale Rózię, która z beczelną arogancją usługuje jakimś dwom paniom, pijącym mleko z wysokich, wąskich kufelków. Wejść do ogrodu nie śmie, ale przypadek przychodzi jej z pomocą. Różia spoglądała w stronę furtki i spostrzegła przyjaciółkę. Zbliżyła się szybko, strącając z krzesła parasolkę jednej z pań i przewróciwszy jedną ławkę, staje przed Kaśką.

– Idź do kuchni... wiesz, tą drugą bramą... zaraz przyjdę.

Odchodzi i staje pod tablicą zawieszoną na ścianie domu, na której czarnym tle widnieje z daleka napis „Cennik jadła i napojów”, i z budującym spokojem przypatruje się damie, która usiłuje oczyścić unurzana w piasku parasolkę.

– Niech psiakrew nie kładzie swojej elegancji na drodze... – mruczy z całą nienawiścią biednej a zazdrosnej dziewczyny.

Po czym zawraca się i niknie w głębi zabudowania.

Za nią słyhać wołanie:

– Panienko! Proszę świeżej wody.

Różia zatrzymuje się chwilę.

– Zaraz, zaraz! – odpowiada, przeciągając na ostatniej zgłosce z całą dokładnością iście kelnerskiej intonacji.

– Cholerę ci, a nie wodę – dodaje, biegnąc przez dwie puste sale do kuchni, w której od kilku minut czeka na nią Kaśka.

Wielka, widna izba z olbrzymim kominem i płytą opatrzoną niezliczoną ilością fajerek, przesiąkła cała kwaśnym zapachem mleka, przedstawia się raczej jak świeżo wyczyszczona, olbrzymia obora, z której wyprowadzono krowy. Mleko w

łładyszkach⁹, mleko w cebrzykach, mleko w kamiennych garnkach, śmietanka rozlana w wielkich, szerokich miskach, na półkach serwatka, drżąca w szklanych, ogromnych słojach; przewrócone pod stołem szafliki drewniane, wznoszące się wzdłuż ścian piramidalnie stosy świeżo skoszonej trawy, pełnej polnych kwiatów, przetykanej żółtymi jaskrami, powojami lub macierzanką, jak kobierce wschodnie – całe to gospodarstwo mleczne, praca wspólna zwierząt i ludzi przedstawia się w tej widnej, przestronnej izbie, wśród kwaśnego zapachu nabiału. Poza tymi stosami trawy, poza olbrzymimi garnkami lub cebrami zdają się występować kontury tych dobrych, o wielkich oczach, mlekodajnych zwierząt, przynoszących ze sobą wonie pastwiska, ostry zapach macierzanki, suchy trzask łamanej lebiody.

W tej kuchni zastawionej tyłoma naczyniami otwierającymi szerokie wnętrza mlekiem napełnione błąkało się niewyraźne wspomnienie wsi skąpanej w promieniach słońca, szumiącej swobodą drzew, zielonej szmaragdową trawą – wsi wolnej, uśmiechniętej jak oblicze wiejskiej młodycy.

Kaśka czuła się swobodna w tej atmosferze i uśmiechała się na widok tych zapasów śnieżnego płynu, którego szerokie strugi zalewały nawet podłogę kuchni.

Kilka dziewczek bosych maczało swe zamulone nogi w kałuży mlecznej, przenosząc garnki i porządkując poustawiane naczynia. Zdrowe, silne, zabłocone, o szerokich biodrach,

⁹ *łładyszka* – dzban gliniany bez ucha. [przypis edytorski]

z czołami prawie kwadratowymi, z olbrzymimi piersiami zarysowującymi się pod zgrzebną koszulą, miały one wiele podobieństwa do tych zwierząt – karmicielek, około których krzątały się dniami i nocami. Całe ich ubranie było przesiąknięte zapachem obory i mleka. Kaśka patrzyła na nie z pewną zazdrością. Taka praca odpowiadałaby najwięcej jej silnej, rozwiniętej naturze. Chętnie zdjęłaby swoje skórkowe buciki, które ją piekły na podbiciu, i umaczałaby rozpalone stopy w chłodnym, sinawym mleku, którego szeroka struga zalewała podłogę. Z jaką radością zanurzyłaby swe ręce w stosie tej świeżej trawy, której zapach przypominał jej chałupę matki i spędzone dziecinne lata, bez troski, na przedmieściu małego miasteczka. Stoi więc rozmarzona, uśmiechnięta, śledząc wzrokiem postacie dziewczek, które z właściwym tylko chłopkom falowaniem kłębów uwijają się po kuchni i nie pytają nawet, czego chce pomiędzy nimi dziewczyna stojąca w milczeniu prawie na progu.

Nagle otwierają się z trzaskiem drzwi od sali i wpada przez nie Różia, powtarzająca ciągle:

– Cholera tobie, nie woda.

Potrącając dziewczki, unosi spódnice, a pokazując pod czystą sukienką szare od brudu i opadające w kilku fałdach pończochy, przeskakuje biały rynsztok, zagrządzający jej drogę do przyjaciółki.

– No i cóż? – pyta Kaśkę, zwracając ku niej twarz namiętej kobiety, o podkowach barwy stalowej, okrążających

oczy czerwone od płaczu i bezsenności.

– Mam służbę – odpowiada Kaśka – dziś się przenoszę.

Na twarzy Rózi przemknął wyraz zadowolenia. Ten świadek jej pożycia z Feliksem był zbyt ciężki, aby go mogła długo znosić. Nie śmiała przecież tego powiedzieć Kaśce, którą lubiła za jej łagodność i miłe wejrzenie; ale teraz jest zadowolona, że pozostanie z nim sama w swej ciasnej izdebce, w której rzeczywiście nie było miejsca na troje.

– Idę zabrać mój kuferek i chcę ci oddać te piętnaście centów, które pożyczyłam już tak dawno – mówi Kaśka z pewną nieśmiałością, przesuwając w rękę paperek guldenowy.

– Jakaś taka pani, że możesz długi płacić, to płać – odpowiada Różia – ale lepiej zrobisz, jak długów nie zapłacisz. Długi ci nie uciekną... tej choroby dosyć zawsze człowiekowi.

A widząc, że Kaśka milczy, dodała:

– Po kuferek idź! Ten wagabunda Feliks pewnie siedzi w domu i kurzy kabanosy. Oj! To też pokaranie z takim ananase!

Kaśka poruszyła się nieco żywiej.

– Czegóż z nim siedzisz? – zapytała nieśmiało, spoglądając na przyjaciółkę.

Różia machnęła ręką.

– Abo ja wiem! Nieraz to mnie chwyci taka złość, że chciałabym go wygnać za setną górę, bo próżniak i nic dobrego. Ja się naharuję cały dzień, a on furt traci i traci... A bodaj go raz pokręciło...

I mimo woli chwyciła ją ta sama pasja, która ją ogarniała

co wieczór na widok bladej twarzy Feliksa złożonej wygodnie wśród brudnej i dawno niezmienianej pościeli, gdy zmęczona po całodziennej pracy powracała do domu. Lecz namiętność wstrząsająca nią co wieczór zaczynała powoli napełniać ją całą i dlatego na powtórzone pytanie Kaśki odpowiedziała szybko, błędząc niepewnymi oczami po przeciwległej ścianie:

– Ta cóż, przyzwyczaiałam się, ot i cała bieda.

Przyzwyczaiała się! W tym jednym słowie zawarta była cała prawda jej życia; w tym przyzwyczajeniu dzwoniły wszystkie okowy łańcucha, którym skrępowwała się z tym wyzyskującym ją mężczyzną. Przyzwyczaiała się do codziennej kłótni, do tego własnego wrzasku, do jego próżniactwa, dymu kabanosów, do jego nerwowej, suchej, zwiędłej powierzchowności, do tej szufladki, napełnionej co dzień rano drobną miedzianą monetą, a świecącej co wieczór pustkami – nawet do tej żony otoczonej drobnymi dziećmi, której widmo wywoływała codziennie swym głosem ochrypłym.

Przyzwyczaiała się...

Kaśka utkwiała z podziwieniem wzrok w twarzy swej przyjaciółki trapionej namiętnością, która powracała o jednej i tej samej porze dnia jakby uparta febra. Kaśka nie pojmowała swej przyjaciółki. Dla niej Feliks był brzydkim, podstarzałym człowiekiem, sprawiającym wrażenie wstrętne. Co więcej, był to próżniak wyzyskujący pracę kobiety i żyjący z nią w związku nieślubnym. Kaśka rozprawiłaby się z nim krótko. Odesłałaby go natychmiast do żony i warsztatu. Ona nauczyłaby go respektu...

Tymczasem żegna Rózię i zabiera się do wyjścia.

Wychodzą przed kuchnię, na małe podwórko otoczone dokoła niskimi oborami, których drzwi stoją otworem. Kupy gnoju i słomy leżą na ziemi, a kilka cienkich, smukłych drzewek wznosi ku niebu swe młode gałęzie. Obydwie stoją tu jeszcze przez chwilę, a Kaśka zdejmuje ze siebie ciężką chustkę wełnianą, pod którą kryje swe ramiona. Ma ona na sobie trykotowy stanik darowany w przystępie dobrego humoru przez pannę Lewi. Ciemnoczerwona barwa trykotu niewiele różni się od koloru szyi, nabrzmiałej i jakby spuchniętej z gorąca. Ale za to cały gors Kaśki odznacza się śmiało i pewnie pod tą ciągnącą się tkaniną, która rzeźbi najdokładniej ramiona, wypukłą deskę i piersi, których objętość rozdziera stanik, widocznie na drobniejszą postać zrobiony. Brak dwóch guzików dozwala widzieć brzeg grubej, lecz czystej koszuli i mały trójkąt ciała ciemnego, pociągniętego złocistą powłoką, właściwą tylko brunetkom. Kaśka, znużona ciężarem chustki, podnosi w górę ręce i przeciąga się, układając w prostej linii łokcie i zaciskając pięście. Nagle natrafia na wystającą belkę i chwyta drzewo zawieszona na pół łokcia ponad jej głową. Bezwiednie nachyla się ku przodowi, zgina łokcie, a cofnąwszy w tył biodra, stoi tak chwilę, patrząc na rozmawiającą Rózię, która powróciła znów do żalów na temat Feliksa i jego niepoprawnego lenistwa.

Wśród tej gorącej atmosfery dziedzińca przesyconej zapachem obory Kaśka ma uczucie błogości nieokreślonej. Z rozwartymi oczami i wilgotnymi wargami stoi, wciągając

w siebie całymi kłębami tę woń błotnistą, właściwą tylko rozkładającym się roślinom. Krzykliwy głos Rózi rozbija się w ciasnym wnętrzu podwórka, ginąc w ciemności otwartych obór. Kaśka nie słyszy słów swej przyjaciółki – stoi nieruchoma, cała zatopiona w wspomnieniach, które, razem z wonią w piersi jej zbudzone, otaczają ją, odrywając od teraźniejszości. I tak jak w kuchni, wśród fal mleka, przychodzi do niej cała przeszłość, matka, siostry, praca w fabryce i przyjazd do miasta. Zasluchana w piosenkę dzieciństwa nie widzi, jak otwierają się ukryte w parkanie drzwiczki i na progu staje dwóch młodych mężczyzn. Różia podbiega ku nim z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

– Czego panowie tędy? – pyta przybyłych. – Pani się gniewa, jak goście łażą przez kuchnię... Jest przecie furтка od tego.

– E! Głupia jesteś – odpowiada jeden z młodych ludzi. – Po co nam obchodzić dokoła wśród takiej spiekoty...

Urywa nagle, trącony przez swego towarzysza. Ten ostatni, młody chłopak, dość przystojny, ale drobny i prawie nierozwinięty, zwrócił od razu wzrok na Kaśkę, która z rękami podniesionymi i podpierającymi belkę, z torsem form klasycznych, z głową naprzód podaną stała ciągle nieruchoma, nie zwracając uwagi na to, co się dokoła niej działo. Taka to już była natura tej dziewczyny. Zamyślała się często i bezwiednie, a wtedy stała na miejscu, jak posąg nieruchoma, cicha, milcząca, z oczyma szeroko otwartymi. W tej chwili „napadło ją znów”, jak mówiła sama, przyszedłszy do samowiedzy. W trykotowym staniku, przylegającym z dziwną dokładnością do jej ciała,

rysowały się jej piersi i ramiona nader plastycznie. Od pasa ukryta wąską spódnicą, zdawała się wyrastać z tej czarnej ziemi, na której oparła swe szerokie stopy. Była to istotnie dziewczyna piękna, silna, olbrzymia, z głową foremną, niskim czołem dawnych posągów greckich. Twarz jej, świecąca od potu, brązowa, mieniła się w cieniu zalegającym podwórko i nadawała całej jej postaci charakter odlewu brązowego.

Dwaj młodzi ludzie patrzyli na nią przez chwilę, po czym jeden z nich, młody i przystojny chłopak, wyrzekł jedno tylko słowo:

– Kariatyda!

Po wypowiedzeniu tego słowa można było przeczuć rzeźbiarza. Zgłoski spadały z głuchym odgłosem młota, obracanego silną dłonią wykształconą na wzorach greckich.

– Kariatyda!

I młode, nierozwinięte chłopię, noszące z niewieścim wdziękiem swój popielaty garniturek, rósł prawie pod dźwiękiem tego słowa, nabierał siły i wprawną ręką lepił w myśli tors tej dziewczyny, której nieruchoma postać wskrzeszała w nim wspomnienia całego szeregu wielkich kobiet kamiennych, nagich, z biodrami owiniętymi draperią, podtrzymujących sztukaterie pałaców. I była to rzeczywiście kariatyda, siostra tych sennych olbrzymek, które, wpatrzone w przestrzeń kamiennymi źrenicami, stoją na straży dumne w swej niewoli, dźwigając ciężary na barkach królewskich.

Wśród zacieśnionego podwórka, otoczona kupami gnoju i

blota, oparta o szarą ścianę obory, wznosiła się harmonijnie piękna, silna, jak posąg starożytny znaleziony pod owczarnią pasterza.

– Kariatyda!

I gdy słowo to zawarczało nagle w powietrzu, zbudziła się Kaśka ze swej zadumy. Instynktowo poczuła, że ta nazwa dla niej jest przeznaczona. W swej ciemnocie nie miała najmniejszego pojęcia o znaczeniu tego słowa, ale wpadło ono w jej ucho i przeniknęło do głębi mózgu. Wyręło się tam dokładnie i pozostało wśród tysiąca trywialnych wyrazów, zasłyszanych od dzieciństwa. Z nadzwyczajnym pomieszaniem, z gorącym rumieńcem na spoconej twarzy, zaczęła Kaśka owijać się w chustkę, pragnąc czym prędzej uniknąć spojrzeń tych mężczyzn, których ciekawy wzrok palił ją i mieszał niewypowiedzianie. Czują, jak ją rozbierali, jak zdzierali z niej suknie i stawiali przed swymi oczami nagą – a ta myśl doprowadzała ją do rozpacz. Wszyscy ci mężczyźni patrzyli na nią w tak przykry sposób. Cóż ona temu winna, że tak wyrosła i że jej ramiona tak szerokie? Nie powinna nigdy zrzucić chustki, ale zawsze otulać się nią szczelnie, nawet w czasie upałów. To będzie sposób najlepszy.

Mężczyźni postąpili kilka kroków i zbliżyli się do dziewcząt. Różia odzyskała już dobry humor i przybrała na twarz maskę uprzejmej kelnerki. Starszy z przybyłych był przystojnym mężczyzną o regularnie zakreślonym profilu i dość zgrabnej postawie. Ubranie jego nie odznaczało się za to zbytnią starannością. Brudna i zmięta koszula otwierała

się na piersiach, ukazując brak spinek i dekę piersiową, pokrytą rzadkimi włosami. Kamizelka wycięta, zapożyczona widocznie z balowego garnituru, źle harmonizowała z letnią, rozpiętą marynarką, obciągniętą ku dołowi jakimiś ciężarkami, przepełniającymi kieszenie. Spodnie z tego samego materiału co marynarka, dość krótkie, odsłaniały nogę kształtną i wąską, ustrojoną w czerwone skarpetki z *fil d'Ecosse* i lakierowane, lecz wykrzywione półbuciki.

Twarz tego człowieka, przedstawiająca typ czysto słowiański, z nieco zagiętym, krogulczym nosem, ustami łagodnymi, ocienionymi gęstym i pięknym wąsem, przypominała nadzwyczajnie brązową twarz „Gladiatora” Welońskiego. I tu, i tam był ten sam wyraz bolesnej rezygnacji, żalu za młodością, pokrytego wspaniałą siłą woli, która spazmatycznie podnosi męskie głowy na powitanie śmierci i ze spokojem witać każe każdego, wszechwładnego zabójcę.

*Morituri te salutant*¹⁰!

Gladiator pozdrawiał tak cezara, dla którego szedł w bój i szukał śmierci. Na twarzy tego człowieka rysuje się to samo śmiertelne pozdrowienie przed silniejszą od cesarów potęgą, bo przed nałogiem pijaństwa. Wskazuje na to już ta twarz spuchnięta, z drobną siatką zmarszczek, oczyma czerwonymi od bezsenności i nadużycia trunksów rozpalających, te ręce małe, kształtne, suche, rozpalone i drżące bezustannie, ta postać złamana, pochylona wiecznie, jakby oparcia szukająca, wreszcie

¹⁰ *Morituri te salutant* (łac.) – Idący na śmierć pozdrawiają cię. [przypis edytorski]

ten głos niepewny, rzucający najczęściej ironiczne, a olbrzymią inteligencją tryskające słowa, wreszcie cała istota tego człowieka, spalona, zmięta, pełna nadzwyczajnego talentu literackiego, zbrudzona życiem w knajpie, wytarta jak powierzchnia stołu kawiarnianego. Wszystko to rzuca w daleką przestrzeń słowa idącego na śmierć gladiatora:

– *Morituri te salutant!*

A przed nim, przed tym ciałem zniszczonym, przed tym życiem spalonym, przed tym talentem na miazgi zgniecionym wznosi się olbrzymia postać ohydnej, niezwalczonej choroby, która z obojętnością cezara przyjmuje rozpaczliwe pozdrowienie swej ofiary, a na płomienistym swym tronie drwi z wodnych kuracji, wyciągając swój suchy, kościsty palec dla naznaczenia nowej, na śmierć skazanej ofiary. Potem puszcza ją w taniec na materacach szpitalnych i dręczy dniami i nocami, sprowadzając do łoża konającego ohydne wizje, zmuszając do nieustannej pracy mózg przekrwawiony, męczący się w bolesnym natężeniu. Towarzysz tego człowieka, ów młody chłopiec, rzeźbiarz, o ładnej twarzyczce ożywionej niewielkimi, czarnymi oczkami, szczupły w ramionach, a giętki w pasie, przejął od swego przyjaciela coś z tego ohydnego nałogu, zaraźliwego jak ospa i jak ospa śmiertelnego. Był to dopiero nowicjusz. Twarz jego gładka nie miała jeszcze tych kurczowych skrzywień, właściwych tylko organizmom przesiąkniętym na wskroś alkoholem, ale snadź czuwali razem, włócząc się po szynkowniach i knajpach, bo obaj mieli czerwone powieki i tę

nieokreśloną woń właściwą dusznym i źle oświetlonym salom, gdzie złe wino, tłuste potrawy, dym tanich papierosów i tysiące ludzkich oddechów tworzą gęstą mgłę opadającą brudnym, cuchnącym obłokiem na suknie i włosy stałych gości.

Do mleczarni przychodzili zwykle po obiedzie, pijąc chętnie kwaśne mleko, które gasiło chwilowo pożar trawiący ich wnętrzności.

Obaj zbliżyli się do Kaśki, kołysząc się, z minami zwycięzców, z wypiętnowaną na twarzach pogardą dla kobiet zbieraną po ciemnych zaułkach w objęciach istot sprzedajnych. Żartami uczyniono Kaśce propozycję „pozowania”, a widząc, że jest nadto głupia, by mogła zrozumieć znaczenie tego wyrazu, tłumaczyli jasno i otwarcie, czego od niej żądają. Ona zarumieniła się nagle, usłyszawszy, że bez żadnej osłony ma stanąć przed nimi tak, jak ją Bóg stworzył! O! nie – na to nie zgodzi się nigdy. I drżącymi rękami zaciska na piersiach swą wełnianą chustkę, jakby bojąc się, aby jej nie przymuszono zaraz stanąć naga – wśród dnia białego, na środku podwórka. Różia śmieje się, pobudzona w swej zmysłowości nagłym pragnieniem pocałunków i pieszczot Feliksa.

– Jaka ty głupia! – tłumaczy jej literat, a głos rwie się w ciągłej czkawce wznoszącej jego piersi z jakimś okrutnym uporem. – Jaka ty głupia! Nic ci się przecie złego nie stanie... postoisz kilka godzin, a ten pan ulepi cię z gliny. Zobaczysz przynajmniej, jak wyglądasz.

Kaśka nie odpowiada. W umyśle jej przesuwa się w

chaotycznym nieładzie jej własna postać, naga, oblepiona mokrą gliną. To musi być coś szkaradnego.

– I zapłacę – dodaje rzeźbiarz – zapłacę trzy szóstki za godzinę...

– Nie blaguj – przerywa mu literat – wypchaj się z twoją zapłatą.

Różia zachwycona. Trzydzieści centów za próżnowanie przez godzinę! I ofiarowuje się sama, poruszając ramionami i wysuwając naprzód swój zgnieciony gors, okryty różowym perkalem. Ona pójdzie chętnie pozować, jeśli tylko Feliks pozwoli.

Ale rzeźbiarz wstrząsa głową i odmawia. Kaśka co innego. Jeżeli zechce, dostanie nawet cztery szóstki. Przyjdzie tylko kilka razy. Wszystko to przecież nie skutkuje. Kaśka milczy uparcie, szukając oczyma wolnego przejścia, aby czym prędzej uciec od męczących ją propozycji.

Nagle literat zapytuje ją z ironiczną miną:

– A umiesz ty katechizm?

Kaśka spogląda ze zdziwieniem na mężczyznę. Po co ją ten pan pyta o katechizm? Umie i to umie dokładnie, wyuczyła się wśród ciszy wiejskiego kościoła od księdza staruszka; ale po co temu panu ta wiadomość? Co może mieć wspólnego katechizm z oblepieniem ją gliną tak, jak chcą ci panowie?

I nagle jak piorun spada na nią znów pytanie:

– Kto cię stworzył!

– Pan Bóg – odpowiada machinalnie Kaśka z posłuszeństwem

katarynki, którą nakręcają do odegrania arii.

– Z czego? – pyta dalej literat, mrużąc swe czerwone oczy i patrząc na nią przez rzadkie rzęsy.

– Z... gliny i tchnął we mnie ducha, a ożywił ciało – recytuje Kaśka, kręcąc palce ruchem gnuśnych dzieciaków w szkole.

Literat zatrzymuje wspaniałym ruchem ręki ten potok wyrazów.

– A więc z gliny. A bolało cię to, jak cię lepił? Bolało?

Kaśka sięga pamięcią w najodleglejsze wspomnienia swego dzieciństwa, ale nie może sobie przypomnieć tej chwili. Milczy więc uparcie.

– A widzisz, idiotko – konkluduje literat. – Nie bolało cię wtedy, to nie będzie cię boleć i teraz.

– I trzy szóstki dostaniesz za godzinę – przerywa rzeźbiarz, wysuwając naprzód swą drobną figurkę i kładąc ręce w puste kieszenie, aby pobrzękawszy kluczykami, zwrócić uwagę Kaśki na dźwięk niby gotówki przepelniającej kieszenie jego letniego garnituru. Kaśka doznaje silnego zawrotu głowy. Jak to? Ten cienki, młody chłopiec, miałby być tak bogatym i mądrym jak Bóg Ojciec? Kaśka zgorszona jest takim rzucaniem imienia boskiego. I jakiś niezdrowy, odurzający powiew zawraca jej głowę; doznaje dziwnego ciśnienia w piersiach, jakby przestrachu przed czymś nieznanym, czarnym, przed ciemną przestrzenią otwierającą się pod jej stopami. Jest jej tak, jakby napiła się zbyt silnego odurzającego napoju, którego słaba jej głowa znieść nie może.

Mężczyźni śmieją się ciągle. Różia, uradowana, że zażartowano z jej przyjaciółki, poddaje się tej wesołości, która napętnia hałasem całe podwórko.

Kaśka z coraz większą trwogą ogląda się na wpół otwartą furtkę, pragnąc uciec jak najprędzej. Zdaje się jej, jakby popełniono jakiś występki, którego niegodziwość wstrząsa nią do głębi. I zdobywając się na energię, porywa się z miejsca i biegnie ku furtce z rozpaczliwym pośpiechem. Mały rzeźbiarz puszcza się za nią w pogoń.

– Ty – krzyczy – jak się namyślisz, a nie będziesz miała co jeść, przyjdź do mnie. Wiesz gdzie Politechnika? Nie wiesz? To ten duży dom biały, ze schodami, na Zakrętarskiej ulicy. No, teraz wiesz?

I dopadłszy ją tuż przy furtce, chwyta wpół, dostając jej ledwie do ramienia. Drobny, szczupły, źle wyrosnięty, wygląda jak dziecko wobec tej silnie zbudowanej dziewczyny. Ona czuje to i patrzy nań z góry z jakimś dziwnym uśmiechem.

– Puść mnie pan, bo się śpieszę...

Ale on nie słucha jej głosu. Uśmiecha się i kołysze swą postać, przysuwa się coraz bliżej. Ostry zapach alkoholu wydobywa się z przyśpieszonym oddechem z jego ust ciągle wilgotnych. Kaśka pragnie silną ręką usunąć natrętnego chłopca. Ale on, płacąc siłą za siłą, nagłym ruchem porywa jej ramię i ściska jak w kleszczach. Drobne, cienkie palce młodzieńca otaczają je z siłą stalowych obręczy. Kaśka zwraca ku niemu swe łagodne, załzawione oczy.

– Panie! To boli!...

Rzeźbiarz ciśnie w tej chwili ramię dziewczyny z nadzwyczajną rozkoszą.

– Panie! To boli!...

I wielkie, ciemne źrenice patrzą na zaczerwienioną twarz chłopca z wyrzutem bezsilnej, niższej społecznie istoty, niemogącej się bronić i odpłacić równą miarą.

Palce rzeźbiarza rozsuwają się z wolna. Puszczają ją i stoi, patrząc na nią, gdy znikła w otwartej furtce i przebiega ulicę.

Literat z Rózią zniknęli w głębi zabudowania, wlokąc za sobą hałas żartów, dwuznaczników i klapsów. Rzeźbiarz stał jeszcze przez chwilę na środku podwórka i spoglądał z pewnym zajęciem na belkę, o którą oparła się Kaśka w chwili jego wejścia. Tak! Dziewczyna ta była jedynym modelem do kariatydy, o której marzył nieraz, siedząc w knajpie i rysując swój projekt na zakurzonym stole palcem umaczanym w winie lub piwie. Wszystkie jego posągi powstały zresztą w ten sam sposób. Występowały wśród nocy i dręczyły go w sali kawiarnianej. Wylewał wtedy kieliszek wina na stół i rozmawiając z towarzyszami, rysował postacie idealnej piękności drżącą trochę ręką, a mimo to czyste formą, pojęciem i stroną duchową. W krzyku i hałasie na pół pijanych felietonistów, recenzentów i aktorów stwarzały się arcydzieła, wygładzały kontury, uśmiechały biusty, płaskorzeźby, całe posągi. Z głową odurzoną winem rzucał nieraz słowo cyniczne lub podsuwał projekt dalszej nocnej wędrówki, ale ręka jego kreśliła wciąż

te postacie, które drzemały senne w głębi jego piersi i rwały się na świat, do życia, do sławy! Był to talent olbrzymi, idący za postępem, z kierunkiem bardziej realnym, dążącym prawdą do ideału. Nie tworzył istot nadziemskich, niebywałych, tak doskonałych pięknnością i wyglądem, że zdają się być lalkami odlanymi ze stearyny. On brał człowieka z jego poetycznej strony, ale pozostawiał mu chropowatość i zagięcia skóry, zarost włosów, a czasem niegrecką linię nosa. Wychodził z zasady, że natura nie jest macochą, i był przekonany, że właśnie udoskonalenie tego profilu popsułoby harmonię całego ciała.

Pracował niewiele. Był biedny, zostawiony samemu sobie, nie kochał nic i nikogo i na wzajem nie był kochany. Szedł przez życie puszczony samopas, aż oparł się w knajpie, w tym salonie inteligencji artystów miejscowych. W pierwszej chwili cofnął się z przerażeniem, a potem przywykł i szedł tam co wieczór, a powracał nad ranem, wrzeszcząc, hałasując po ulicach, zaczepiając policjantów i dziewczęta, kładąc się w poprzek chodnika niby dotknięty nagłą śmiercią człowiek i wyprawiając tysiące podobnych uciesznych zabawek.

Na progu pracowni witały go białe czyste jego posągi, patrzące ze smutkiem na tę twarz młodą, obrzękłą, sinawą – na te włosy miękkie, falujące, pełne słomy, trawy i kurzu – na te ręce zabłocone, wpakowane z pijackim uporem w kieszenie obszarpanego palta!

I był że to ich twórca, ten człowiek, który przynosił ze sobą cuchnący oddech pomieszanych napojów, trzymający się

tak źle na nogach, padający prawie u ich stóp kamiennych w ostatnim upodleniu? Olbrzymi Herkules siedzący na skale, nagi, wspaniały, pochylał smutnie dumną głowę, a smukła Świtezianka, zadumana nad brzegiem rzeki, rumieniła się prawie w blaskach wschodzącego słońca. A przecież wszystkie te białe postacie wyrosły z ciemnej kałuży rozlanego wina, urodziły się pod gorącym tchnieniem przepędzonej w knajpie nocy. I przeznaczeniem jego było schodzić najniżej po swoje wzory, projekty, a nawet po modele.

Tu, na tym dziedzińcu wyrosła nagle wspaniała kariatyda z szeroko zakreślonymi liniami, tchnąca zdrowiem i siłą. Zostawiła w jego pamięci wdzięczne wygięcie ciała, wspaniały tors, pochylony w kształtnym skróceniu. Pragnąłby jednak zobaczyć ją jeszcze, aby stworzyć prawdziwy typ kobiety-olbrzymki, bez przesady, bez naśladowania tych niekształtnych posągów podpierających balkony lub ornamenty kamienic.

Dlatego stoi tak na środku dziedzińca i patrząc na ścianę, rysuje myślą kontury, wypełnia przestrzeń i wznosi Kaškę-kariatydę, wspaniałą, piękną, silną, o muskularnych, a mimo to kobiecych ramionach.

*

Kuferek Kaški, jakkolwiek niewielki, zajmował znaczną część izdebki zamieszkaney przez Rózię i Feliksa. Kaška, wyszedłszy z mleczarni, udała się tam prosto, pragnąc zabrać

swoje rzeczy i przenieść się czym prędzej. Gdy weszła, zastała Feliksa leżącego według zwyczaju wśród brudnej i porozrzucanej pościeli, z miną człowieka, któremu pewno ulokowany kapitał przynosi przyzwoity i stały dochód. Pofałdowana i niekształtna twarz tego człowieka ginęła w kłębach dymu kabanosa. Niedawno powrócił z obiadu, a teraz ze spokojem odprawiał sjęstę poobiednią. Brudne, szare ściany izdebki przesiąknięte dymem cygar, pooblepiane były kawałkami kolorowego papieru, wycinkami z żurnalu, anonsami lub złoconymi literami, poodrywany widocznie ze sztuk muślinu lub tarlatanu. Była to jedyna praca, której oddawał się czasem Feliks. Pomnąc na maksymę: *utile cum dulci*¹¹, ozdabiał ściany niezamiatanej izdebki wycinkami ze starych gazet i kolorowymi obrazkami.

– Będiesz miała po mnie pamiątkę – wyrzekł raz do Rózi, gdy ta gniewała się za zużywanie mąki na klajster.

Tym zamknął jej usta. Rozstanie – było to słowo zbyt straszne, gdy padało z ust jego. Ona mówiła o nim ciągle, wywoływała nawet w kłótniach codziennych, ale gdy Feliks wyrzekł coś odnoszącego się do zmiany w ich pożyciu, martwiała z bólu i stała przełęczniona, jak wobec śmierci lub choroby nieuleczalnej.

Gdy Kaśka otworzyła drzwi, Feliks nie podniósł się ze swego legowiska. Od dawna zatracił całą galanterię dla dam i uważał kobietę jako istotę niższą, przeznaczoną jedynie dla utrzymywania jego drogocennego życia. Gorąca, duszna atmosfera nieprzewietrzanej nigdy izby uderzyła niemile

¹¹ *utile cum dulci* (łac.) – przyjemne z pożytecznym. [przypis edytorski]

wchodzącą dziewczynę i przygniotła od razu jej płuca. Pomimo że nie cierpiała Feliksa, wrodzona jej uprzejmość nakazywała jej być grzeczną.

– Dzień dobry – wyrzekła, otwierając swój kuferek i składając swe drobiazgi z jak największą uwagą.

Feliks nic nie odpowiedział, tylko zaczął się przyglądać pochylonej dziewczynie. Kaśka była stanowczo piękniejsza od Rózi, a w mleczarni lub w kawiarni mogła przy dobrych chęciach przynosić korzyść podwójną. O wiele młodsza, świeższa, z łagodną siłą konia meklemburskiego, przedstawiała się o wiele korzystniej jako materiał zarobkowy, z którego można by dłużej i więcej ciągnąć dochodów. W milczeniu przeżuwał myśli od dawna w jego głowie powstałe.

Rózia zaczynała się starzeć. Coraz mniej monety brzęczało na dnie szufladki. Niedbała, zmęczona i niechętna, traciła poboczne dochodziki za usługę; przy tym z głupim uporem trwała w jakiejś wierności, której on w gruncie rzeczy nie wymagał i nie pragnął. Dla miłości Feliksa odtrącała każde poufalsze zbliżenie się gości z miną zadąsaną, źle wychowanej dziewczyny, a tym samym omijały ją coraz częściej owe drobne pieniądze „na piwo”, które w początkach ich pożycia wynosiły codziennie po kilka guldenów. Wtedy żyli przyzwoicie, a dwa listy banku hipotecznego datowały się z owych czasów, w których oprócz utrzymania Feliksa mogła Rózia odłożyć coś na czarną godzinę. Wprawdzie nieraz dokoła ich mieszkania krążyły postacie rozmaitych mężczyzn, starszych i młodszych,

k którzy zaglądali z pewną niecierpliwością do bramy i głośno kaszlali, spacerując pod oknami, a Różia, najczęściej pod pozorem odwiedzenia chorej przyjaciółki lub ciotki, wybiegała na miasto i wracała dopiero po kilku godzinach – ale Feliks udawał, że tego wszystkiego nie dostrzega. Udając sen twardy, widział wszystko i domyślał się prawdy, lecz nie robił żadnych awantur. Po co? Tak było lepiej obojgu. Zżółkła jego maska uśmiechała się mimo woli, gdy Różia z nadzwyczajnym strachem pochylała się nad nim, aby się przekonać, czy nie słyszał, że powróciła o tak późnej porze.

Dla niego mogła powrócić i rano. To mu było zupełnie obojętnym. W swej pogardzie dla kobiety nie pojmował, co to jest szczęście wynikłe z przeświadczenia o wyłącznym posiadaniu ukochanej i kochającej istoty. Wszakże nie przeszkadzało to pewnemu artystycznemu zmarszczeniu brwi, gdy Różia opowiadała o niezmiernie zajmującej historii obok mieszkającego szewca, który żonę swoją złapał na niewierności małżeńskiej.

– Gdyby tak na mnie – mówił, usiłując wydać swoją drobną, zawiędlą¹² postać – zabiłbym psubrata na miejscu.

A Różia spuszczała głowę i drżała ze strachu, marząc o morderstwie, krwi, sądach przysięgłych, kryminale...

I powoli, z coraz większą zaciekłością czepiała się Feliksa, pragnąc tylko jego pocałunków i pieszczot. Pozrywała dawne znajomości i zaczęła być wierną na wielką skalę, z uporem

¹² zawiędlą – dziś popr. zwiędła. [przypis edytorski]

kobiety, której bezgraniczna namiętność znalazła wreszcie ukojenie. Przy tym stawała się coraz więcej nerwowa, krzykliwa i zawiedła w tym bezustannym dymie cygar i zgniecionej, wilgotnej atmosferze. Nie dbała o nic i nie troszczyła się nawet o byt materialny.

Feliks, od pewnego czasu znacznie w swoich wydatkach ścieśniony, patrzył na Rózię z dobrze maskowanym wstrętem. Nigdy wszakże nie zrobił jej żadnej wymówki, tylko klął w czasie jej nieobecności, gdy otwarta szuflada przedstawiała widok niezadowolający. Był on na pozór względnie dobrze wychowanym człowiekiem i miał pewną delikatność, gdyż otwarte przyznanie się do wyzyskiwania kobiet mogłoby mu popsuć dalszą karierę. Stosował się więc w milczeniu do pogorszonej sytuacji, ale oglądał się za czymś lepszym, przynoszącym mu większy dochód, który by mu pozwalał żyć lepiej i jadać w przyzwoitszych restauracjach. Uwaga jego zwróciła się na... Kaśkę. Któż mógł być lepszym materiałem do wyzyskania jak ta dziewczyna łagodna, cicha, pełna siły, a zarazem bezsilna wobec ostro postawionego żądania? Patrząc na długą linię jej grzbietu nad kuferkim pochylonego, Feliks powziął nagle myśl zużytkowania dla siebie tej młodej, zdrowej istoty, która mogła znieść wiele w zaprzęgu i nie zużyć się tak łatwo jak Różia.

– Panna Kasia idzie na spacer? – zapytuje z niezwykłą uprzejmością, widząc, że dziewczyna wydobywa z kufra czysty, biały kaftanik i odkłada go na bok.

– Nie, panie Feliksie, przenoszę się tylko – odpowiada Kaśka, szukając pomiędzy bielizną pocerowanych pończoch.

– Panna Kasia idzie do służby?

– Idę.

Chwila milczenia. Kasia wyszukała pończochy, ale z rozpaczą dostrzega na jednej niewielką dziurę na pięcie. Siada więc na brzegu kuferka i sięgnawszy ręką, dobywa małe pudełko od proszków seidllickich, pełniące funkcję neseserki lub kasetki do robót. W pudełku znajduje trochę bawełny, napastrzek i dużą igłę zardzewiałą. Wsuwa pończochę na lewą rękę, a wyciągając piętę na złożonej pięści, rozpoczyna cerowanie. Szyjąc, przechyla za każdym sztychem głowę i zacina usta z wyrazem nadzwyczajnej uwagi. Feliks podwaja uprzejmość i powoli wstaje z pościeli.

– Po co panna Kasia idzie do służby? – pyta, przeglądając się w małym kieszonkowym lusterku.

– Jak to po co? Ażeby nie zdechnąć z głodu – odpowiada Kaśka, nie podnosząc głowy.

– Panna Kasia jakby zechciała, to by mogła iść do jakiej innej, lekciejszej roboty, rondle i szafliki to dla innych, brzydszych...

Kaśka roześmiała się szczerze.

– Niech pan Feliks nie dworuje. Ta cóż bym robiła inakszego? ... Trafiała się niezła służba... Pani zda się dobra.

– Oj! One wszystkie niby dobre – mówi Feliks skrzywiony. – Ale ja znalazłbym coś innego, delikatniejszego, polityczniejszego. Ot na przykład do mleczarni jak Różia albo do kawiarni... He?...

I rzuciwszy projekt, patrzy z uwagą w twarz Kaśki, aby dostrzec, jakie zrobił wrażenie.

Kaśka opuszcza nagle rękę, na której trzyma pończochę, a drugą dłonią pociera ramię. Silne palce rzeźbiarza, zaciśnięte z uporem powyżej jej łokcia, zostawiły czerwone pręgi bolesne, jakby od skrępowania powrozem. Stara się więc uśmierzyć ból za pomocą rozcierania.

– Ja do mleczarni? Zanadto jestem niezgrabna, za brzydka. Różia co innego...

Feliks postanawia uderzyć w strunę próżności, a przy tym nie pragnie oszczędzać swej kochanki.

– Hi, hi, hi! Pewnie, że Różia a panna, to co innego. Panna bo młodsza i ładniejsza, i zdrowsza... Różia przy panie to jak zduszona cytryna...

Kaśka doznaje tego samego zdziwienia, jakie ogarnęło ją w kuchni, gdy rozgniewana Różia nazywała Feliksa „ananasem”. Teraz on nazywa ją „zduszoną cytryną”. Cóż wiąże tych dwoje ludzi, skoro się nawzajem nienawidzą?

I tą samą intonacją głosu pyta:

– Dlaczegoż pan z nią siedzisz?

Feliks krzywi wąskie usta i szuka przez chwilę odpowiedzi.

– Ot, przyzwyczailem się... taka moja głupia natura.

I ten się przyzwyczailem? Kaśka wzrusza ramionami i zaczyna cerować pończochę. Feliks pragnie widocznie coś dodać, bo zbliża się do kufierka, a uśmiech rozjaśnia jego twarz obojętną.

– Ale z tym wszystkim mógłbym z nią skończyć w każdej

chwili. Zrobiła się z niej taka jędza, że, jak Boga kocham, nie do wytrzymania. Ja lubię kobiety grzeczne i edukowane. Myślałem, że ją wytresuję, ale niech ją tam...

Kaśka słucha ze zdziwieniem tej mowy. On wymaga od Rózi grzeczności i chce ją tresować!

Feliks przysuwa się bliżej i siada na brzegu kuferka.

– I widzi panna, Różia próżnuje teraz, nic nie robi. Dawniej to była iskra nie dziewczyna; teraz ledwo ciągnie za sobą nogi. Ja nie lubię kobiet, które się włóczą po kątach i nic nie robią.

Kaśka mimo woli zatrzymała swój wzrok na długich, suchych, beczynnie złożonych rękach Feliksa. Na czwartym palcu lewej ręki błyszczał kokieteryjnie pierścionek ozdobiony fałszywym brylantem.

Feliks patrzył także na ręce Kaśki, grube, szerokie, pokryte lśniącą, czerwoną skórą, i oboje zajęci byli jedną myślą – mianowicie obliczali, ile dziennego dochodu mogły dać ich ręce w ciągłą puszczone pracę. Przy tym wzrok Feliksa obejmował całą postać dziewczyny ze skrupulatną uwagą, tą samą, z jaką się ogląda kamienicę, na której się chce ulokować swój kapitał zaraz po towarzystwie. Widocznie egzamin wypadł na korzyść dziewczyny, bo Feliks poprawił krawatę i przychylając się z wdziękiem, zaczął trochę przyciszonym mówić głosem:

– Ja pannie Kasi powiem... gdyby panna Kasia zechciała, to ja bym się postarał, aby panna Kasia dostała się na miejsce Rózi w mleczarni. To będzie łatwo, bo Różia jakaś chuderlawa i coraz bardziej włóczy nogami. Ale za to panna Kasia będzie

moja i będzie ze mną siedzieć tak, jak teraz Różia. Krzywdy nie zrobię, jak Boga kocham, bom uczciwy człowiek, i zobaczy panna Kasia, jaki ze mnie dobry mąż...

I zaczął suchymi, chudymi palcami szukać rąk dziewczyny, która siedziała na brzegu kuferka przerażona, doznając wrażenia, jakby ją nagle obryzgano błotem.

On, biorąc milczenie Kaśki za znak niemego z jej strony zachwytu, ciągnął dalej swe propozycje, zwracając ku niej swą żółtą, zmarszczoną twarz próżniaka zeschniętego w beczynności, trawiącego obcą pracę z całą bezczelnością pasożyta.

Nie – to było nadto bolesne. Czym że zasłużyła na podobne upodlenie? Czego chcieli od niej ci mężczyźni niedozwalający jej żyć spokojnie? Dziś po raz trzeci czuje na swej twarzy gorący oddech męski, pomieszany z zapachem cygar i złego wina. Nie! Stanowczo tego za wiele! Jakiś nieokreślony smutek przepętnia jej piersi, łyzy nabiegają do oczu i Kaśka wybucha głośnym płaczem, ocierając łyzy trzymaną w ręku pończochą. Czyż tak będzie całe życie? Więc nigdy nie znajdzie spokoju, nigdy chwili wytchnienia? Czyż wszyscy mają prawo rzucać się na nią dlatego, że jest biedną służącą, zmuszoną iść z odkrytą głową przez ulicę?

Feliks, nie przewidując łez na zakończenie swych świętych propozycji, milknie zmieszany i wstaje z kuferka. Duma jego dotknięta każe usunąć się co prędzej; dlatego ze źle ukrytą złością chwyta rzucony pod stół kapelusz i wychodzi, trzaskając drzwiami.

– Klucz oddać stróżowej! – rozkazuje, stojąc we drzwiach; a Kaśka nie odwraca nawet głowy, tylko płacze ciągle, opierając skroń o ścianę. Te łzy sprawiają jej ulgę i przynoszą trochę spokoju.

Ubogie swe sukienki przewiozła w dorożce razem z pościelą zawiązaną w grube, białe prześcieradło.

Dojechawszy przed bramę, oglądała się na próżno za swym nowym znajomym, Janem... Nigdzie go nie było – poszedł zapewne na miasto. Kaśka nie mogła zrozumieć, dlaczego nieobecność stróża sprawiła jej przykrość. Pragnęła, aby przyjazna twarz chłopca przywitała ją na wstępie do nowego mieszkania. Nie obawiała się z jego strony napaści, owszem, miała dlań ufność i pragnęła jego opieki. Z pomocą dorożkarza przeniosła kuferek i pościel, a sama pani otworzyła jej drzwi kuchenne.

Gdy zastała ze starych desek pozbijane łóżko i pokryła je grubym prześcieradłem, a na ścianie powiesiła rzędem cztery piękne malowane obrazy, uśmiechnęła się w swym ubóstwie i czuła się zadowolona. Te obrazy były jej jedynym bogactwem. Święta Trójca z szafirową kulą, przedstawiająca świat cały, Matka Boska Kochawińska, wychylająca czarną twarz z połocistej sukni i Święty Wincenty à Paulo z dzieciakiem na rękę. Czwartym w tej galerii obrazów był Bogumił Dawidson¹³ rozparty w purpurowym płaszczu i koronie cesarów. Kaśka, nie

¹³ *Dawidson, Bogumił* (1818–1872) – aktor dramatyczny polskiego pochodzenia, odnosił wielkie sukcesy na scenach niemieckich (w Dreźnie). [przypis edytorski]

znając bohaterów sceny, umieściła tragika pomiędzy obrazami świętymi, uważając go za coś wysokiego ze względu na czerwony płaszcz i dumną, wyzywającą pozę, z jaką się rozpierał koło urny, na kolumnie wysokiej sterczącej.

W kuchni znalazła mnóstwo śmieci i kurzu; po kątach stopy kości, łupiny od kartofli itd.

Po rozpatrzeniu się bliższym, zauważyła brak wielu koniecznych naczyń, szczotek, żelazek. Z wielką energią rozpoczynała więc sprzątanie tego kąta, w którym odtąd żyć miała. Gdy obmyła podłogę, zabrała się do czyszczenia ścian, ale tu niewiele pomogły jej dobre chęci. Czarne smugi pokryły dawno niebielone ściany. Niewielkie okienko wychodziło na małą boczną galeryjkę opatrzoną cienką, żelazną poręczą, zakrzywioną na rogu i ciągnącą się w górę po szpiczastym dachu niższego budynku. Okienko to dawało mało światła i powietrza. Kaśka westchnęła... Szerokie jej piersi wciągały od razu wielką ilość powietrza, gdyż inaczej krew ją dusiła i zalewała jej głowę.

Nagle drzwi od pokoju otworzyły się i w nich stanął mężczyzna niemłody, w szlafroku – widocznie pan domu.

Kaśka wyprostowała się i podeszła, pragnąc w fałdach wyszarzanej perskiej tkaniny znaleźć rękę swego chlebodawcy i wycisnąć na niej pełen szacunku pocałunek.

Ręka jednak zniknęła w zbyt obszernym rękawie, a natomiast z piersi mężczyzny wybiegł cichy zachrypnięty głos, podobny do piania koguta.

– Cóż to za nowy tłumok tak hałasuje, że człowiek myśleć

nawet nie może?

Kaśka, biorąc zawsze najgorsze dla siebie, zastosowała tym razem wyraz „tłumok” do swej osoby.

– To ja, proszę wielmożnego pana, Kaśka.

Chudy mężczyzna skrzywił się.

– Nowa sługa, hm... hm... gorsza złodziejka i latawiec niż tamte. No, no, ja się do ciebie wezmę i będziesz mnie słuchać. Nie panią, tylko mnie, bo u mnie służysz. Rozumiesz, ja płacę! Pani nic nie ma, to wszystko moje. To moja krwawa praca, którą ona niszczy.

I wstrząsając długim rękawem, pod którym kryła się zapewne ręka, ukazywał Kaśce tę całą swoją własność, owoc krwawej pracy: kilka rondli, stary pogrzebacz i szczypce, blaszany samowar, dziurawą konewkę, rdzą pokryty kociołek i resztę innych gratów, nędznych, kryjących się po zaciemnionych kątach ze wstydem obszarpanych nędzarzy. Człowiek w brudnym szlafroku wyciągał rękę i zakreślał koło, mówiąc „to moje” z dumą skąpca, który całe lata gromadzi stopy zaśniedziałych monet. Były to skarby smutne, własność, o którą sprzeczać się było dziwactwem, a przecież ten mąż wydziedziczał z nich żonę, wskazując siebie jako głowę domu i pana w całym tego słowa znaczeniu. Wszystko należało do niego – i to wygasłe ognisko, i ta stolnica czerwona jeszcze od mięsa, i ten szczerbaty garnuszek, i ten moździerz bez tłuszczka, w którym tłuczono cukier lub pieprz starą rączką od dzwonka. Tym wspaniałym ruchem rękawa obejmował w posiadanie i

nową służącą, która w niemym podziwieniu spoglądała na tę łysą, szpiczastą głowę, obciągniętą żółtą skórą, a zapadającą się w kilku miejscach w doły okrągłe i równe. Nos długi, haczykowaty, zwieszał się nad wąskimi wargami i prawie łączył z wystającą brodą. Zamiłowanie w gderaniu i bezustannym gniewie na siebie i na wszystkich przebijało się aż nadto widocznie w tej skurczonej, pochylonej postaci, jakby zaczajonej dla rzucenia się na upatrzoną sobie ofiarę. Chudy, mały, miał ruchy wariata, machając ustawicznie rękami i wyginając dolną wargę w właściwy sobie sposób.

Kaśka, mimo całego szacunku dla „państwa”, nie mogła ukorzyć się przed tą figurą, migającą się w niepewnym blasku przyciemnionej kuchenki.

– Ile ci pani dała zadatku? – pyta człowiek w szlafroku, zaczajając się jakby do skoku.

– Reńskiego w srebrze – odpowiada Kaśka.

– Oddaj go!

Kaśka, przerażona, nie może przez długi czas znaleźć odpowiedzi.

– Oddaj – powtarza mężczyzna – kto cię tam zna... Może jesteś Bóg wie jaka przywłoka... Jutro ukradniesz co i pójdiesz, a ja ci mam jeszcze za to płacić? Ta głupia Julka zawsze tak robi... Szast, prast... pieniądze wyrzuca jakby swą własność!... Miłosierny Boże! Co to ze mną będzie... co to będzie!...

Postąpił kilka kroków naprzód.

– Czy to ma być wyszorowana podłoga? – zapytuje,

przysiadając na ziemi i wlokąc za sobą sznur długi i obszarpany.
– To jest tylko brud rozmazany, a wszystkie plamy zaraz jutro wyjdą... Popraw to zaraz...

Siedząc na ziemi, rozglądał się dokoła uważnie, jakby coś obliczał i przypominał sobie.

– Masz tu czternaście kawałków drzewa na jutro do obiadu... to ci wystarczy. Naczynie utrzymuj czysto, bo to moja praca i kosztuje mnie niemało...

Nagle porwał się z ziemi i rzucił na stojący na stole samowar.

– Miłosierdzie boże! – zawołał, chwytając samowar przez materię rękawa. – Miłosierdzie boże!

I za chwilę zniknął z samowarem we drzwiach prowadzących do pokoju. Kaśka pozostała sama. Chwilę stała nieruchoma, porządkując wrażenia, jakie zrobił na niej ten człowiek dziwny. Czekwała jego powrotu i powtórnego rozkazu zwrócenia zadatku. Czuła, że służba jej będzie bardzo ciężka, ale nie miała wyboru. Wśród kwartału gdzie znaleźć mogła lepszą? W najwyższej trwodze zabrała się do powtórnego szorowania podłogi. Oddychała ciężko, pocąc się wśród gorąca i w przyśpieszonym ruchu. Pan nie powracał wraz z samowarem, bo zniknął we wnętrzu mieszkania. Kaśka z ciągłą trwogą spoglądała na drzwi od pokoju.

Zmrok zapadał z wolna, ścieląc się ciemnymi smugami po wilgotnej podłodze i pustych kątach. Wszystkie przedmioty tonęły w ciemnościach napełniających powoli ciasne wnętrza kuchni. Kaśka spocona, zmęczona, skurczona w wielką,

bezszaftną masę, szorowała ciągle z jakimś nerwowym uporem, prawie bezmyślnie.

Na koniec otworzyły się drzwi, a do kuchni weszła pani, trzymając w ręku samowar. Jej niska, szeroka postać zaznaczyła się wśród cienia niepewnymi liniami. Pani postawiła na stole samowar i oparła się ręką o ścianę, jakby padając ze znużenia. Stała tak przez chwilę w milczeniu, nie patrząc na Kaśkę, która w przeciwległym kącie kuchni klęczała w wodzie. Na koniec, unosząc tren swego szlafroku, postąpiła pani kilka kroków ku okienku, skąd padała jeszcze szarawa, jakby popiołem przysypana smuga światła, i stanęła w tej smudze, zwracając ku Kaśce swą bladą twarz niezdrowej kobiety.

Pragnęła widocznie coś przemówić do klęczącej naprzeciw niej dziewczyny, nie wiedziała jednak, od czego zacząć.

– Bardzo tu było brudno – wyrzekła powoli, a głos jej drżał lekko, prawie niedostrzegalnie.

– Tak, proszę wielmożnej pani, ale jakoś się to uładzi – odpowiada Kaśka, szczęśliwa, że jej piękna pani tak uprzejmie do niej przemawia.

– Mąż mój... to jest pan – poprawiła się – lubi porządek... trzeba mu dogadzać... proszę cię o to...

Kaśka podniosła głowę i zastanowiła się chwilę. Jak to? Ta pani prosi ją o wypełnienie obowiązku?

– A teraz mam jeszcze jedno zlecenie – mówi pani, wahając się przez chwilę. – Zdajesz się być dobrą dziewczyną... Służ mi wiernie, a nie pożałujesz. Skoro podasz samowar i zobaczysz,

że ja siedzę przy stole i biorę bułkę z koszyka, wróc do kuchni, a po chwili wejdź z tym listem. Podaj go panu, mówiąc, że przed chwilą posłaniec go przyniósł. Potem wyjdź z pokoju i nie przychodź, aż cię zawołam.

I kończąc te słowa, wyciągnęła pani swą tłustą, białą rękę, podając Kaśce list zaadresowany dużymi literami.

Jakieś dziwne zakłopotanie ogarnęło obie kobiety. Kaśka, nie wstając z klęczek, otarła mokre ręce i ujawszy list, wsunęła go za kaftanik. Pani nakazywała jej kłamać i oszukiwać pana, oddając mu list z uwagą, że przyniósł go właśnie posłaniec. Kaśka czuła, że to nie było dobrze, i kryła w cieniu pomieszczenie, które ogarnęło ją nagle. Pani, w szarym i przyćmionym blasku padającym z okienka, miała w swej bladej twarzy wyraz lekkiego zakłopotania z tego przymusowego tłumaczenia się przed sługą, którą od kilku godzin zaledwie poznała.

– Czy wiesz, co masz robić? Zrozumiałaś dobrze?

Kaśka wie wszystko, co ma zrobić, ale nie rozumie dlaczego. Wiedziona wszakże instynktem, nie pyta o nic, nie chcąc zawstydząć jeszcze więcej tej bladej kobiety, która stoi przed nią nędzna i przygnieciona prawie swym kłamstwem.

– Pamiętaj wszakże – odzywa się pani łagodnym głosem – że służyysz przede wszystkim u mnie. Dlatego liczę na ciebie i każę ci milczeć. Gdybyś wszakże powiedziała cokolwiek panu, wypędzę cię, a mnie narazisz na przykrość... bardzo wielką.

Głos jej nie miał tonu groźby, gdy mówiła „wypędzę”. Był to raczej senny dźwięk stłumionego łkania, które zastygło w tej

szerokiej piersi.

Kaśka poczuła nagle wielką litość nad tą kobietą, która kłamała z takim źle ukrywanym smutkiem. I ze zwykłą u kobiet przeciwko mężczyznom solidarnością postanowiła pomagać, ile jej sił starczy, tej dobrej bladej pani, która mówiła do niej przychylniej, poczciwiej niż pan liczący polana i rzucający się na samowar w dzikiej rozpacz. Kaśka przecuciem sługi odgadła w Julii istotę bierną, złą gospodynię, kobietę zajętą bardziej czymś poza granicami domu, żyjącą wśród ścian swego mieszkania jak w hotelu, bez zajęcia, bez chęci, bez uśmiechu. Oprócz tego Julia wydała się Kaśce bardzo nieszczęśliwa i chorowita mimo dobrej tuszy. Gdy Julia mówiła: „narazisz mnie na przykrość wielką” – Kaśkę ścisnęło „pod piersiami”. Ta wielka przykrość rysowała się przed oczami tej wrażliwej dziewczyny jak straszny potwór zagrażający życiu jej pani. O! Pani może być spokojna. Kaśka własnymi rękami odsuwać będzie te przykrości i piersią własną zasłoni ją przed potworem! I klęcząc u stóp Julii, poczciwa dziewczyna za kilka słów łagodniejszym wypowiedzianym tonem składa w ofierze swej pani bezgraniczne przywiązanie, usta już chętne do kłamstwa i całą swą istotę pełną uległości psa wiernego. W tej ciemnej kuchence zawiązało się milczące przymierze przeciwko mężowi i panu, przymierze mające na celu z jednej strony zdradę małżeńską, z drugiej chęć odplacenia ślepym posłuszeństwem za dobre słowo. Dwie kobiety niemające przed chwilą jeszcze nic wspólnego, łączyły się węzłem tajemnicy, która usunęła się

za kaftanik Kaśki w postaci zaklejonego listu. Julia, ulegając dziwnie sympatycznej powierzchowności Kaśki, powierzała w jej ręce swą przeszłość, przyszłość i terażniejszość – nieopatrznie może, ale kierując się instynktem kobiecym. Ta wysoka dziewczyna, tak łagodna, silna, z otwartą i szczerą fizjonomią, nie mogła kryć zdrady w głębi swej istoty. Od pierwszej chwili Julia przeczuwała w tej dziewczynie swego sprzymierzeńca, licząc wreszcie i na przykry charakter męża, który od pierwszej chwili wywierał na każdym wstrętne wrażenie.

Gdy pani wyszła z kuchni, nakazując zapalić lampkę, nastawić samowar i podać filiżanki, Kaśka wstała z podłogi, na której dotąd klęczała, i przez chwilę stała z twarzą w dłoniach ukrytą.

Pani, wychodząc, powiedziała: „pośpiesz się, moje dziecko!” – a powiedziała tonem łagodnym, niknącym wśród ciemnej przestrzeni.

– Moje dziecko!

Od śmierci swej matki Kaśka nie słyszała tego słowa. Teraz duszą i ciałem należy do tej dobrej kobiety, której głos drga jeszcze pod niskim kuchennym sufitem i płynie, napełniając powietrze miłą wonią.

I z łakomstwem dziecięcym upaja się Kaśka tą nazwą, tak drobną wobec jej olbrzymiej postaci i szerokich ramion. Zmoczona spódnica, ku dołowi obciągnięta, leje ze siebie całe strugi brudnej wody, która ze szmerem deszczu spada na podłogę. Kaśka stoi wśród ciemności, odurzona słodyczą zasłyszanego słowa. Cały ten dzień, tak przykry z powodu

brutalności mężczyzn, rozwiał swą smutną szatę w dźwięku słowa płynącego z ust kobiety.

– Moje dziecko!

To słowo przepętniło serce Kaśki rozkoszą nieokreśloną i skuło jej silną postać nierozzerwalnym łańcuchem posłuszeństwa. W tej krótkiej chwili Kaśka straciła swą wolę i stała się maszynką w palcach swej pani. Było w tej przemianie dużo z uległości zwierzęcia domowego, które chętniej biegnie do ręki przynoszącej mu cukier niż do ręki obciążonej batogiem.

Gdy Kaśka weszła z samowarem do jadalnego pokoju, uderzył ją na wstępie niezwykle widok. Na wyplatanej krześle, przy okrągłym stole siedział pan obłożony mnóstwem wielkich książek. Żółtą i chudą jak u kościotrupa ręką przewracał sinawe kartki od góry do dołu zabazgrane, pokreślane, z kolumnami cyfr na marginesach. Książek tych było ze dwanaście, wszystkie jednej wielkości, zniszczone, z pozaginаныmi rogami i zrudziałą okładką. Leżały one na ziemi, stały oparte o nogę stołu, zajmowały blat, rozkładały swe ogromne kwadratowe ciała ubrane w kamlotową sukienkę. Pan, pogrążony w jakichś poszukiwaniach, podnosił się na krzeselku, gdy nie mógł wzrokiem doścignąć wierzchu karty. U okna siedziała w milczeniu pani z głową zwróconą na zewnątrz pokoju.

Zdawała się być pogrążona w myślach, martwa i nieruchoma. Pokój jadalny, niewielki, kwadratowy, z oknem wychodzącym na dziedziniec, był pusty i świecił nagimi ścianami pomalowanymi w orzechowe róże na tle żółtym.

Niewielki kredens, staruszek, ze spaczonymi drzwiczkami, rysował swój kontur i z pewną nieśmiałością tulił się do ściany. Niska sofa pokryta zniszczoną ceratą i kilka wyplatanych krzeseł stanowiły całe umeblowanie pokoju. Przez uchylone drzwi można było dojrzeć sypialnię oświetloną blaskiem gasnącej świecy.

Dwa łóżka jednakowej wielkości, pokryte ciemnymi kapami, migwały się w żółtawym świetle. Sypialnia łączyła się z salonikiem, którego drzwi prowadziły wprost na schody, tak zwane frontowe. Przedpokoju nie było.

Gdy Kaśka wchodziła do jadalni, pan, nie odwracając nawet głowy i nie odrywając oczu od książek, mówił coś do żony, a głos jego, piejący i chrapliwy, z głuchym świstem obijał się o ściany pokoju.

– Znalazłem, jest! O!... Kupiony w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim, dwunastego sierpnia, o godzinie trzeciej po południu. Patrz! Zapisany. Samowar blaszany, z galeryjką i kominkiem. Cena reński 1 centów osiemdziesiąt. Oddany Julii z Weissów Płudowskiej, żonie mojej, i służącej Małgorzacie Przybylak. Chodź! Czytaj sama!... Był nowy, zupełnie nowy. Tu! Niżej!... Podpisałaś się sama własnoręcznie. „Samowar zupełnie nowy przyjąłem, Julia z Weissów Budowska”. Teraz powiedz, czy to nie twoje pismo? No! Powiedz!...

I drżącymi ze złości palcami wodził po zapisanej stronie, na której rzeczywiście widniał wielkimi literami napis:

„Samowar blaszany” itd. Julia nie odpowiadała wcale. Siedziała nieruchoma, spoglądając w ciemną, olbrzymią przestrzeń, rysującą się za oknem. Pomimo późnej pory oko mogło jeszcze rozróżnić mury koszar i wysoki nasyp kolejowy, oświetlony gdzieś latarnią budnika. Od pół i ogrodów wiało świeże, chłodne powietrze i wpadało śmiało do wnętrza pokoju. Na dziedzińcu bawiła się gromadka hałaśliwych dzieci, a w przyległej kamienicy szwargotali Żydzi używający odpoczynku na drewnianych, spróchniałych deskach galerii. Nagle na torze kolejowym zabłysło purpurowe światło i rozległ się przytłumiony huk, jakby gwar zbuntowanego tłumu. Czerwona gwiazda mknęła szybko, siejąc tuż przy ziemi żółtawy blask w kłębach białej pary. Przed oczami Julii przemknął się pociąg kurierski, złożony z kilku wagonów i lokomotywy, i popędził w gniewnym pośpiechu rozjuszonego zwierza. Huk nappełnił mały pokój i wstrząsnął do głębi postacią chudego człowieka zatopionego w książkach i poddającego swą nagą czaszkę pod jasne światło zawieszanej nad stołem lampy.

Julia nie poruszyła się wcale, tylko po jej białej twarzy przemknął się wyraz tajonej żądz, jakiegoś pragnienia budzącego się codziennie z hukiem przelatującego pociągu. Nie podróżowała ona nigdy. Urodzona i wychowana w mieście, jeździła raz tylko do Gródka, do ciotki męża z wizytą. Była to rozkoszna podróż, szybka, rwąca jej bezkrwiste ciało w jakąś dal nieskończoną. Odtąd spada na nią codziennie ten huk przelatującego pociągu jak szum przemijającej burzy i niesie ze

sobą nieokreśloną tęsknotę za światem dla niej nieznanym. Jest to jedyna chwila dnia, w której dusza tej kobiety rwie się w kawałki w bezsilnym bólu, pragnąc poruszyć się i razem z tą gwiazdą czerwoną ulecieć w dal ciemną i pełną tajemnic.

– A teraz... miłosierdzie boże!... Spójrz, jak on wygląda! – ciągnie piejący głos męża wskazującego z wyrazem bóleści na ustawiony przez Kaśkę na stole samowar. – Boki pozapadane, galeryjka powykręcana... miłosierdzie boże! Miłosierdzie boże!

Kaśka spogląda z niepokojem w stronę Julii, ciągle nieruchomej i jakby sennej. Czy pani zapomniała o liście? Dlaczego nie zbliża się do stołu? Dlaczego nie daje umówionego znaku?

Na koniec Kaśka odważa się przemówić:

– Proszę pani, woda już się gotuje.

I odkrywa przykrywkę porcelanowego czajnika wyciągającego swą nadtłuczoną szyjkę spomiędzy dwóch filiżanek fajansowych.

– Głupia! – wybucha pan ze złością. – To do mnie należy. Ja zasypuję herbatę, bo to moja herbata. Ona tu nic nie ma swego. Rozumiesz? Podaj mi herbatę. Jest tam w kredensie, na górze, w blaszanej puszcze. Wyjmij także druciany koszyk z bułkami.

I z najwyższą uwagą wziął odrobinę herbaty swymi kościstymi palcami i wrzucił ją do czajnika. Potem zamknął szczelnie puszkę i kazał wstawić do kredensu.

Kaśka czuła, że jej obecność jest w pokoju zbyteczna, lecz cóż miała zrobić z listem? Czuła go ciągle na piersiach, za każdym

ruchem ocierał się o nią gładką powierzchnią i przypominał jej swą obecność.

Usunęła się cicho do drzwi i stała, śledząc z uwagą nieruchomą postać pani. Gdy tak stała, przyszła jej myśl, że źle robi, pomagając do jakiegoś czynu oszukańczego. Ten pan był bez wątpienia złym człowiekiem, przykrym, gderliwym, ale Kaśce nie uczynił jeszcze nic złego. A nawet gdyby ją skrzywdził, nie powinna przecież występować przeciw niemu... I niepewna, wahająca się, pragnąc zachować iście chłopską neutralność, ciśnie do piersi ów list fatalny, ciężący jej w tej chwili stufuntowym ciężarem.

Tymczasem pan podnosi się, składa na ziemi książkę i zabiera się do nalewania herbaty. Czyni to dość zręcznie, klekocąc chudymi palcami i wybierając jak najmniejsze kawałki cukru. Stawia jedną filiżankę na drugim końcu stołu i uprzejmym gestem zaprasza żonę do przyjęcia udziału w tym skromnym posiłku.

– Proszę! proszę! Jakkolwiek ucztą ta daleką jest od luksusowych biesiad sprawianych w domu mamy dobrodziejki, ale niech pani pozwoli i zaszczyci mnie ubogiego swoją uprzejmością. Daję pani to, na co mnie stać. Dobrze, że mogę pani coś ofiarować, bo ze strony pani oprócz fochów i niszczenia inwentarza tudzież ruchomości, niczego się nie mogę doczekać.

Owa wieczorna herbata była to zwykła pora dnia, w której występowały na pierwszy plan pretensje tego człowieka skierowane głównie do zawodu, jakiego doznał, nie dostawszy za

żoną spodziewanego posagu.

Odsunął on ją od zajęć domowych, odebrał wszelką władzę, wyrzucając jej ciągle ubóstwo i czyniąc z niej raczej sługę aniżeli żonę. Ona przyjęła swą rolę z pozornym posłuszeństwem, pleśniała w domu, który nie miał dla niej żadnego uroku, włączyła się z kąta w kąt, nie mogąc wypełnić pustki każdej głupiej i źle wychowanej kobiety, która nie umie znaleźć rozrywki w sobie samej, w książce i w nabywaniu wiadomości.

Od czasu do czasu chodziła do swej matki, sparaliżowanej staruszki, która dogorywała w skromnym mieszkaniu na Berlińskiej ulicy. Chodziła tam zwykle sama, bo mąż, srodze zagniewany, nie chciał widzieć „tej starej jędzy, która go złapała” – jak zwykł mówić w przystępie dobrego humoru. Julia tedy chodziła sama, odprowadzana zwykle przez sługę, a powracała w kilka godzin jeszcze bledsza i bardzo zmęczona.

Budowski uważał żonę chwilami za rodzaj upiora, który niszczył go materialnie.

– Proszę! Bardzo proszę! – ciągnął, odwracając swą pergaminową twarz ku siedzącej przy oknie kobiecie. – Może pani zobaczy przy lampie, co się tu zrobiło z takim ślicznym, nowym samowarem.

Julia wstała i zbliżyła się na pozór machinalnie do stołu. Dziewiąta godzina wybiła na którymś z miejskich zegarów. Przeciągłe, niskie dźwięki dolatywały przez otwarte okno i ginęły przygniecione niskim sufitem. Stojąca przy drzwiach Kaśka policzyła uderzenia. Pani siadła przy stole i zaczęła

spokojnie pić czystą herbatę z ruchami woskowego manekina.

Budowski śledził ją niespokojnym wejrzeniem. To wieczne jej milczenie, trupia nieledwie obojętność drażniły go niewypowiedzianie. Od chwili ślubu była wiecznie milcząca, spokojna, bez śladu jakiegokolwiek wzruszenia na bladej, szerokiej twarzy. Później, gdy ją dręczył moralnie, nie oburzała się nigdy. Nieraz miał ochotę uderzyć ją dla przekonania się, czy nie wybuchnie gniewem. I teraz siedzi spokojna, obracając ku niemu twarz woskowej lalki, otoczoną żółtymi, kręconymi włosami.

– I dziś rozporządziłaś się sama bez mojej wiedzy – mówi pan, dzwoniąc gwałtownie łyżeczką o filiżankę. – Przyjęłaś nową sługę, jakiegoś grenadiera, i dałaś zadatek. To może złodziejka!

Wyraz ten „złodziejka” rozległ się jak skrzyp ostrego narzędzia na gładkiej porcelanie. Kaśka mimowolnym ruchem porwała się za głowę.

Ale ruch Julii przerwał jej przykre wrażenie. Machinalnie, na pozór bezmyślnie, wyciągnęła pani rękę i wzięła jedną bułeczkę z drucianego koszyka. Zrobiła to ze zwykłym spokojem.

Kaśka drgnęła lekko, ale mimo to została na miejscu. Tylko ręce opadły jej z wyrazem zniechęcenia, jak u człowieka stojącego wśród dróg rozstajnych i poplątanych. Julia podniosła na nią swe wielkie, bezbarwne źrenice. Zdawała się dopiero teraz spostrzegać służącą i dziwić się jej obecności.

– Wyjdź, moje dziecko.

Powiedziała te słowa jeszcze łagodniej, jak przed chwilą w

kuchni. Był to rozkaz, a zarazem gorąca prośba o wykonanie powziętego planu. Wobec tego głosu Kaśka uczuła się bezsilna. Julia, nie wiedząc o tym, magnetyzowała ją swoją słodyczą. Kaśka wyszła z pokoju z wyrazem zupełnej abdykacji. W kuchni wyjęła list, a przeżegnawszy się pobożnie i westchnąwszy w kierunku świętych i tragika, powróciła do pokoju.

Budowski nalewał właśnie drugą filiżankę herbaty, gdy Kaśka stanęła z wyciągniętą ręką u stołu.

– Proszę pana... list... – przemówiła cichym, stłumionym głosem.

Budowski rzucił się.

– Co, jaki list? Od kogo?

Chwycił podany papier i rozerwał kopertę.

Julia milczała ciągle, jedząc bułkę i patrząc bezmyślnie przed siebie.

Kaśka szczęśliwa, że ominięto straszne dla niej zapytanie: „kto przyniósł?”, skierowała się ku drzwiom w zamiarze opuszczenia pokoju.

– Czeka! – zawołał Budowski. – Będziesz potrzebna! Masz! – dodał, zwracając się do żony. – To od twojej matki. Nie mogę przeczytać tych kulfonów. Czegóż znów chce ta... stara?

Ostatni wyraz wymówił z nietajonym wstrętem. Julia wyciągnęła powoli rękę, wzięła list i zaczęła czytać. Budowski usiadł na swym fotelu, zirytowany z powodu tego niekształtnego pisma, pochodzącego od kobiety, która według jego wyobrażenia leżała na pieniądzech, ale pozbyć się ich nawet dla córki nie

chciała. I przez to uparte przekonanie o posiadanych przez matkę Julii skarbach pozwalał żonie odwiedzać matkę, sądząc, że wreszcie rozczulona wynagrodzi córce, a zarazem i jemu ów zawód pod względem posagu, na który liczył, idąc do ołtarza. Ale nadzieja otrzymania czegokolwiek nie łagodziła gniewu, jakim wybuchł na widok tych niekształtnych liter, które biedna staruszka kreśliła wolną od paraliżu prawą ręką, a w których zawsze wzywała swą córkę do siebie.

– Kto przyniósł ten list? – zapytał nagle, zwracając się do Kaśki.

Kaśka milczała. Dla miłości swej pani zrobiła wiele, ale ciężko jej było usłyszeć swój własny głos rozlegający się kłamstwem wśród tej ciszy. Zwróciła więc błagalne spojrzenie na Julię, która zdawała się z trudnością odczytywać niekształtne i drżące pismo listu.

Wypadek przyszedł jej z pomocą. Samowar, pozbawiony wody, syczał jakąś prawie śpiewną gamę i zdawał się skarżyć na ogień przepalający jego blaszane ciało.

Budowski powstał gwałtownie z krzesła.

– Zatyczka! – wołał. – Miłosierdzie boże! Zatyczka!... bo się rozluteje.

Kaśka pobiegła do kuchni i przyniosła za chwilę żądany przedmiot. Tymczasem Julia przeczytała list i położyła koło filiżanki. Z niewzruszonym spokojem piła dalej zimną już prawie herbatę, patrząc w przestrzeń mętными oczyma.

– Ty! – rzekł Budowski za chwilę do Kaśki – Ubierz się,

bo odprowadzisz panią – dodał, odzyskując na chwilę silniejszy, grubszy głos.

Do żony nie powiedział ani słowa, ale ona wiedziała, że może pójść do matki. Nie śpiesząc się, wstała powoli, jak osoba wybierająca się na spacer i weszła do sypialni. Przedtem jednak wzięła ze stołu list matki, a znalazłszy się w pokoju sypialnym, schowała go z pośpiechem w małe pudełko od pigułek, które włożyła do komody pomiędzy bieliznę, a potem zaczęła się ubierać. Niewiele dbała o swą powierzchowność, wyjmowała bowiem suknie po ciemku i wkładała je na siebie. Za chwilę była gotową. Bez rękawiczek, w pantoflach, nieuczesała, w długiej, ciemnej rotundzie przesunęła się szybko przez jadalnię, nie spoglądając nawet na męża zatopionego znów w księgach rachunkowych.

– A wracaj prędko! – zawołał starzec. – Jeżeli już umarła, to nie masz tam już co robić. – Pozamykaj tylko wszystko i zabierz klucze ze sobą.

Gdy obie kobiety wydostały się na ulicę, odetchnęły swobodniej. Wpół do dziesiątej zadzwoniło nad miastem. Był to piątek, dlatego ciszej i przestronniej było na chodnikach. Oświecony wagon tramwajowy przesuwał się z brzękiem dzwonka, przedstawiając puste wnętrze, w którym drzemał jasno ubrany konduktor.

Puste dorożki wracały od kolei, turkocząc hałaśliwie po nierównym bruku. W oknach domów płonęły mdłe światła przyćmione fałdami firanek, gdzieś tylko płonęły

blaskiem szabasowej iluminacji.

Julia zaczęła szybko biec ku miastu. Ruchem ręki kazała Kaśce iść tuż obok siebie. Nie mówiła nic, oddychała ciężko, widocznie się śpieszyła...

Mijając latarnie, Kaśka kilkakrotnie spojrzała na twarz swej pani i mimo woli zdziwiła się, widząc ją tak zmienioną, drżącą, z brwiami ściągniętymi i wzrokiem w głąb ulicy wyteżonym. Zapewne matka musiała być bardzo chora, a biedna pani jest niespokojna. Kaśkę ogarnęło wielkie rozrzewnienie. Mój Boże! Ona miała także matkę i kochała ją bardzo!

Matula chorowała i Kaśka nieraz biegła z fabryki niespokojna, drżąca na wieść o pogorszeniu się choroby matki. A ten smutny wieczór, gdy zastała już trupa na pościeli! Miły Boże! Jakże wtedy bolało ją serce! Jak gorzko płakała na ten widok swej zimnej, martwej matuli!

Gdyby też ta dobra pani miała zastać także tylko trupa! To byłoby okropne.

Nagle Julia przecina ulicę w poprzek.

Koło kościoła stoi zamknięta dorożka, a przy niej chodzi jakiś mężczyzna wysoki, o zgrabnej postaci. Zapalony papieros oświetla chwilami niebrzydką jego twarz ginącą w cieniu jak fantastyczne zjawisko. Fiakier drzemie na koźle, wyczekując z filozoficzną obojętnością, kiedy mu każą ruszyć. Siwy, chudy koń z pokurczonymi kolanami spuścił głowę z zupełnym poddaniem się losowi. Cały ten ekwipaż, zamknięty, czarny, brzydki, ma podobieństwo do ubogiego karawanu, stojącego

przed drzwiami kościoła.

Julia podchodzi szybko do mężczyzny czekającego przy drzwiczkach powozu. On podaje jej rękę, rzuca papierosa i przygniata go nogą. Julia opiera się chwilę o zewnętrzną ścianę dorożki, zmęczona tym szybkim chodem i odurzona świeżym powietrzem.

– Czekam już pół godziny – mówi mężczyzna z lekką wymówką w głosie.

– Nie mogłam pędzej... wiesz, jak mi trudno – tłumaczy się kobieta, oddychając ciężko.

Nagle przypomina sobie Kaśkę, która stoi w cieniu i patrzy na swą panią oświetloną żółtym płomieniem płynącym z dorożkarskiej latarni. Trzeba było coś zrobić z tą dziewczyną; woła ją więc i szybko, urywanym głosem, daje Kaśce następującą instrukcję:

– Nie wracaj zaraz do domu. Za pół godziny możesz wejść do kuchni, a gdy pan zapyta się, czy mnie odprowadziłaś, powiedz, że na ulicę Berlińską. Potem... kładź się spać, ale zostaw drzwi wchodowe¹⁴ otwarte. Odsuniesz rygle, gdy pan zaśnie. Czy mnie zrozumiałaś?

Kaśka milczy, widząc, że wpada bezwiednie w coraz gorszy labirynt kłamstw ciągnących się za sobą jak paciorki na sznurku. Julia wsiada do dorożki, a za nią ów mężczyzna, co czekał na nią od „pół godziny”. Julia wychyla się jeszcze.

– Zrób wszystko, jak cię proszę – dodaje, głaszcząc policzki

¹⁴ *drzwi wchodowe* – dziś: drzwi wejściowe. [przypis edytorski]

dziewczyny, uśmiechającej się mimowolnie pod tą pieśczętą.

Woźnica rusza z miejsca, zbudzony głosem Julii, która zawołała:

– Jedź za roгатkę Zamarstynowską.

Dorożka oddalała się wolno, kołyszając swe czarne pudło i utykając co chwila na wystających kamieniach. Kaśka kieruje się ku domowi z głową odurzoną, z sercem dziwnie ściśniętym. Pani kazała jechać za roгатkę, a matka pani widocznie mieszka na Berlińskiej, bo tak pani przykazała mówić. Po cóż pani pojechała zamkniętym fiakrem z tym panem, który się gniewa, że czeka zbyt długo?... Pani mówi do niego „ty” i ma twarz tak rozjaśnioną i szczęśliwą, gdy dotyka się jego ręki... Nie jest to przecież brat pani, bo przyszedłby wprost do domu, a nie czekałby po nocy i nie uwoził pani za roгатkę.

– A więc to jest jej... kochanek! – mówi Kaśka do siebie pod nosem. I mimo chłodu nocy, gorący war przebiega członki dziewczyny.

Pojechali sami, we dwoje, w tym zamkniętym, jak piwnica ciemnym powozie!... Pojechali daleko!...

Z dziwnym uporem powraca ciągle myślą do tego fiakra, kołyszającego się wśród ciemnych ulic przedmieścia. I ona to pomogła do tej schadzki, przyprowadziła panią aż do drzwiczek powozu... To źle, bardzo źle. To grzech ciężki, skoro kobieta zamężna ma kochanka... Część winy spada na nią... Czuje to dobrze, i smutna, zgnębiona idzie ulicą, ciągle potrącana i popychana przez przechodniów.

A matka pani?

Mój Boże! Biedna chora staruszka!

I Kaśce zdaje się, że w turkocie kół nękającego fiakra słyszy jęk sparaliżowanej kobiety, bezsenną dręczoną nocą. Gdyby wiedziała, gdzie mieszka, poszłaby zobaczyć, czy się na co nie przyda. Wie tylko, że to na ulicy Berlińskiej.

I powoli staje przed bramą kamienicy. Tu namyśla się chwilę. Pani kazała powrócić dopiero za pół godziny. Poczekaj więc przed bramą, a potem wsunie się cichutko do kuchni, aby uniknąć pytań ze strony pana. Kto wie... może jej się uda. Staje więc przed bramą, opierając się o ścianę framugi w głąb kamienicy wsuniętej.

Z przeciwnego kąta podniósł się ktoś i przysunął do Kaśki. Przy świetle latarni o kilka kroków płonącej dziewczyna poznała Jana. Gorący rumieniec oblał jej policzki. Co sobie pomyśli o niej, widząc ją stojącą wieczorem przed bramą? Jakież świadectwo daje sama o sobie, próżnując zaraz pierwszego wieczoru po objęciu nowego obowiązku? I czuje w tej chwili głęboki żal do pani narażającej ją na utratę dobrej opinii w oczach Jana. Jan pomyśli sobie, że to „latawiec” i będzie miał słuszość zupełną. Tłumaczyć się i uniewinniać nie może – zdradziłaby zaufanie pani i naraziłaby ją na przykrość wielką. Musi więc milczeć i znosić dwuznaczny uśmiezek, z jakim Jan zbliżył się do niej.

– Panna Kasia tak w samotnika?... A może czeka na... „do pary”? – zapytuje, poprawiając z pewną kokieterią swą wytartą

kurtkę. Zdjął już fartuch, a w świetle latarni połyskuje jego twarz wymyta i czupryna wypomadowana. Nie lubi czapki, woli sobie przewietrzać czaszkę w tym chłodzie wieczornym. Powiada, że mu myśli wyparują, a jutro rano będzie miał głowę „frei”. „Głowa nie od parady” – dodaje, stukając palcem w czoło. – Siedzi sobie przed bramą „w samotnika” przynajmniej dziś – mówi znacząco, z uśmiechem mężczyzny mającego szczęście do kobiet. Chce, aby Kaśka miała go za pogromcę serc niewieścich i pragnie podbić ją moralnie. Ona usuwa się, bardzo przybita tym niefortunnym spotkaniem, czując fałszywą pozycję, jaką zajmuje względem tego chłopca.

– A panna Kasia zakochana? – zapytuje nagle Jan, wysuwając naprzód nogę w sposób dość rezolutny.

Kaśka wybuchła mimo woli głośnym śmiechem.

– Ja? A to po jaką biedę?

I śmieje się ciągle, pomimo zmartwienia. Ona zakochana! W kim? Musiałaby poznać przedtem dobrze takiego człowieka, zanim wlaźły jej w głowę. Zresztą nie miała czasu, od dziecka bowiem pracowała ciężko, a po śmierci matki doglądała dwóch małych siostrzyczek. Na „kochanie” trzeba dużo wolnego czasu, choćby wolnej niedzieli, a w pracy nie myśli się o głupstwach.

Jan nie wierzy i dziwnie kręci głową. Jak to? Więc ta duża dziewczyna nie miała jeszcze kochanka? Nie miała kaprała w szafirowej kurtce? Ani ułana? To być nie może! W kole, w jakim się obracał, podobny wypadek byłby niemożliwy. Jeśli Kasia istotnie dobrze się prowadzi, to rzecz nadzwyczajna. Kiedyś na

placu Gołuchowskim w płóciennej budzie pokazywano dziwo natury – ciele o trzech nogach. I ta dziewczyna zasługuje – według pojęcia Jana – aby ją wsadzić w płócienną budę i pokazywać za pieniądze.

Ha! Może... kto wie! – Jednak niewiara przemaga i Jan z ironicznym uśmiechem ryzykuje bardzo dowcipną alegorię, którą zasłyszał w bardzo dystyngowanej bawarii¹⁵ i przyswoił sobie do odpowiedniego użytku.

– Wie panna Kasia co, okręt z głupimi zatopił się! A gadają, co nikt się nie uratował...

I dumny z konceptu, patrzy prosto w twarz dziewczyny, śledząc, jakie zrobił wrażenie.

Kaśka pozostaje nieczuła na aluzję z tej prostej przyczyny, że nie może jej zrozumieć. Okręt z głupimi zatonął? Cóż to znaczy? Ona nie wie nawet, co to jest „okręt”.

Czuje jednak instynktowo¹⁶, że Jan jej nie wierzy i ta niewiara dotyka ją boleśnie. Kaśka jako porządna dziewczyna dba o cześć swoją; przy tym dobra opinia Jana obchodzi ją nad wszelki wyraz. Poznała go dziś dopiero, ale pragnęłaby, aby patrzył na nią nie jak na latawca lub na pierwszą lepszą dziewczynę.

– Może pan Jan pokpiwać – tłumaczy wolno, patrząc na wierzchołki drzew, wystające spoza muru klasztornego. – Może pan dworować, ale co prawda, to prawda. Nie myślałam o głupstwach, bo czasu nie było, a potem...

¹⁵ *bawaria* – piwiarnia. [przypis edytorski]

¹⁶ *instynktowo* – dziś popr.: instynktownie. [przypis edytorski]

Tu urwała, nie chcąc wydać się przed Janem ze swoim marzeniem. Pragnęła z czasem wyjść za mąż uczciwie, po bożemu, za porządnego rzemieślnika. Czysta, widna izba, wypoczynek niedzielny, łagodny mąż, nazwa mężatki, a przy tym ta błoga pewność posiadania własnego kącika – oto był cel marzeń Kaśki. Nie chciała wszakże, aby Jan wiedział o tym, i dlatego zamilkła nagle, nie kończąc zdania rozpoczętego. On wszakże domyślił się jej dążeń tajemnych, bo przechylając głowę i mrużąc figlarnie oczy, zapytał:

– Aha! To panna Kasia chce się wydać? Oj! joj!... co to rarytas iść za mąż! To nie warto!...

Kaśka podniosła głowę i spojrzała w twarz szydzącego z niej Jana.

– Dlaczego nie warto? Przeciek lepiej być na swoim, jak całe życie na drugich harować – dodaje z ożywieniem.

Jan machnął ręką.

– Abo to na męża harować nie trzeba? Chłop zawsze chce, aby baba na niego robiła. Taka już u niego kundycja. A jeszcze jak bez kościół panna Kaśka go przewiedzie, to już po wszystkim. Weźnie pannę za łeb i panna ani piśnie.

Kaśka spojrzała w oczy Jana, a oczy te migotały jakoś dziwnie w żółtym świetle latarni.

– Ha! Wszyćkie tak robią. Tyle wydanych chodzi po świecie – rzekła z rezygnacją.

– Dlatego, że jedna durna, to i reszta ma zdurnieć? – wybuchnął Jan z rodzajem dziwnego gniewu. – Na co wiązać się

na przepadłe, czy nie lepiej na wiarę? Można się puścić, kiedy człowiek chce, a nie tak przez całe życie się kłócić.

Kaśka odsunęła się z wolna.

– Pan Jan przekpiwa? A gdzie która porządna dziewczyna siedzi na wiarę?

Jan spojrzał na nią z wyrazem niewysłowionej pogardy. Wydała mu się w tej chwili śmieszna i głupia. On był tak dumny ze swych quasi postępowych idei pochwytych w szynkowniach lub podsłuchanych z rozmów studentów, którym dawniej posługiwał, że roztaczał szeroko te nadzwyczajne przekonania, druzgocząc każdego, kto się im sprzeciwiał. Dlatego nie uznał za stosowne kończyć rozpoczętej rozmowy. Pomylił się widocznie – to nie była dla niego dziewczyna. Chce się wydać za męża i udaje świętoszkę. On tam żenić się z nią nie będzie!

I z nadzwyczajnym lekceważeniem począł gwizdać popularną piosenkę: „Kochały się dwie Marysie...”, dając do poznania, że cała rozmowa ma być uważana jako przerwana.

Kaśka stała chwilę, czując się dziwnie uciśniona i zawstydzona. Dlaczego przestał z nią nagle rozmawiać i spoglądając, wykrzywił tak dziwnie usta? Przecież nie powiedziała nic złego, co by go mogło obrazić. Owszem, starała się mówić ładnie i dobierała wyrazów, aby się nie wydać prostą, ordynarną dziewczyną. Dziesiąta godzina wybiła na ratuszowym zegarze. Jęcząc, przeleciały niskie, donośne tony i spadły na dachy sennych domów. Coraz mniej przechodniów snuło się po chodnikach, ale za to wiele dorożek pędziło z hałasem w stronę

kolei. Co chwila na zakręcie ulicy pojawiały się jasne punkty, jak oczy olbrzymiego zwierza, i zdawały się mrugać, stając się większymi lub mniejszymi, stosownie do ruchu dorożki. Kaśka śledziła te światełka, sądząc, że którekolwiek zatrzyma się przed bramą, że z powozu wysiądzie jej pani i wejdą razem na górę. Byłoby to dla niej wielką ulgą, bo pragnęła uniknąć zapytań pana, na które inaczej – jak kłamiąc – odpowiedzieć nie mogła. Dorożki jednak przelatywały i ginęły w ciemności, goniąc się wzajemnie.

Za chwilę zajęczało znów w powietrzu. To wiecznie niezgodny zegar paulińskiego kościoła zdawał się spóźnionym echem powtarzać przed chwilą z ratusza obwieszczoną godzinę. Jan przestał gwizdać i poruszył się wreszcie. Nadeszła pora zamknięcia bramy, a Jan lubił przestrzegać tej chwili z dziwną dokładnością. Widząc wszakże nieruchomo stojącą Kaśkę, uznał za stosowne zainterpelować ją, dokąd tak stać zamierza.

– Jeżeli panna czeka na kogo – wyrzekł z przekąsem – to niech panna się odsunie ode drzwi, bo ja muszę zamknąć bramę. Jak ślubny przyjdzie, a panna się z nim ugada, to panna zadzwoni, a mnie szperę zapłaci...

Wiedział, że jej sprawi przykrość tymi słowami, i uczynił to umyślnie. Czekał odpowiedzi, spodziewając się, że rozgniewana dziewczyna obrzuci go potokiem obelg lub co najmniej odetnie się porządnie.

Kaśka wszakże postąpiła inaczej. Oderwała się z wolna od ciemnej listwy przecinającej bramę i nie skinąwszy nawet

głową, zniknęła w ciemnym wnętrzu sieni. Gdy się znalazła na schodach, stanęła na chwilę, opierając się o poręcz. „Najlepiej zrobię, nie rozmawiając z nim” – pomyślała, nie chcąc się przyznać przed sobą do wielkiej przykrości, jaką jej sprawiły żarty Jana. Kazał jej czekać przed bramą na „ślubnego”. Zapewne – miał rację. Któraż porządna dziewczyna staje przed bramą o tak spóźnionej porze? Byłóż to jej winą? Gdyby nie pani, siedziałaby teraz spokojnie w kuchni, porządkując naczynia. Ale on nie powinien był wyśmiewać się, znając ją tak mało. Idąc po schodach, postanowiła unikać wszelkiej z nim rozmowy. Jeśli ją pierwszy zaczepi, odpowie mu skinieniem głowy. Spoufalił się zaraz pierwszego dnia, a ona tego nie lubi.

Gdy weszła do kuchni, zastała pana domu siedzącego na środku z karteczką w ręku. Na jej widok porwał się z krzesła, lecz po chwili znów usiadł. Mdłe światelko lampki naftowej oświecało żółtość skóry, którą czaszka jego była obciążona.

– Jesteś wreszcie – zasyczał ze złością. – Myślałem, żeś utonęła albo że cię policja złapała. Czy wiesz, co ma być jutro na obiad? Ale co ty umiesz gotować? Ty pewnie wydasz tylko na próżno pieniądze i wszystko popsujesz. Miłosierdzie boże! Miłosierdzie boże!...

Utyskując ciągle, wydał nareszcie rozporządzenie obiadu, obliczył ilość funtów mięsa, mąki, a nawet gałązek pietruszki. Mówił prędko, sycząc i kaszląc co chwila. Kaśka stała przed nim prawie przerażona.

Nie grzeszyła nigdy nadzwyczajną pamięcią, dlatego z

trudnością przychodziło jej zapamiętać drobne artykuły, które pan wyliczał.

Pinkusowa Lewi powtarzała zwykle każde słowo, przeciągając na ostatniej zgłosce, a ta nieprawidłowość wymowy wpajała się właśnie w mało rozwinięty umysł Kaśki, pozostawiając wydawane rozporządzenia w pamięci dziewczyny jak zgrzytliwe pociągnięcie źle zatemperowanego ołówka. Gdy Kaśka zapomniała, jaką ilość pietruszki lub ile śmietanki miała przynieść z miasta, pytała bez ceremonii Żydówkę; bo choć to była jej „pani” – a serwilizm w Kaśce był głęboko zakorzeniony – to przecież tak naturalny w naszym ludzie antysemityzm brał górę i rozumowanie Kaśki, że „co Żydówka, to Żydówka”, dozwalało jej większej poufałości względem swej chlebobdawczynie.

Dziś przeciwnie – ten pan wydający rozkazy i dzierżący władzę nad garnkami i rondlami był dla niej zjawiskiem zupełnie nowym, rzecz można, przygniatającym. Dotychczas Kaśka odbierała zwykle dyspozycje z ust pani. Mężczyzna w tym życiu we dwoje przybiera więcej charakter gościa w domu, o którego wygodach, pożywieniu, bieliźnie myśleć należy. Dlatego „pan” w oczach Kaśki był jakąś istotą wyższą, osią, około której kręciły się wszystkie drobne czynności wchodzące w zakres gospodarstwa kobiecego. Gdy wchodziła do pokoju, gdzie najczęściej przebywał pan Pinkus Lewi, choć to był Żyd i to świeżo w surdudt przebrany, czuła dziwną trwogę, a spojrzenie zielonawych oczu Pinkusa paliło ją jak rozpalone żelazko. „Pan”

był dla niej istotą gromowładną, która mogła biedną Kaśkę w proch zetrzeć, na policję oddać albo nawet wybić.

Z panią było jej o wiele swobodniej; uważała ją jako niewolnicę podległą kaprysom męża, taką jak ona sama, tylko lepiej ubraną i niepłatną miesięcznie. Dlatego Kaśka zaniedbywała nieraz panią dla pana i często pani Lewi jadała na wyszczerbionych talerzach i źle wyczyszczonymi widelcami.

Tak było „u Żydów”. U państwa Budowskich porządek zmienił się zupełnie i Kaśka mniej by się zdziwiła, gdyby wyszedłszy z konewką po wodę, przekonała się nagle o zmianie zaszłej w systemie słonecznym, niż widokiem tego zeszcłego, owiniętego w zniszczony szlafrok człowieka, który siedząc na środku kuchenki, wyliczał skrzeczającym głosem:

– Mąki pół funta, grysiku za pięć... – Słowa te padały ze świstem i suchym łoskotem, napełniając ciasne wnętrze kuchenki nędzą groszowej oszczędności, która niesie ze sobą woń tłustych potraw smażonych na przepalonych patelniach lub duszonych w nadszczerbionych rynkach. Budowski z systematycznością urzędnika wyliczał wszelkie przyprawy do dysponowanego na jutro obiadu, określając zaraz i kwotę pieniężną, jaką na najdrobniejsze przeznaczał kupno. Ten grad cyfr drobnych, centowych, spadał na głowę Kaśki i przygniatał jej umysł ilością liczb, osłabiając wyobrażenie, jakie do tej chwili w głębi swej duszy dla „panów” żywiła. Czuła, że od tej chwili winna zdawać sprawę ze swych czynności temu mężczyźnie, który równocześnie jednoczył w sobie zapobiegliwość skrzętnej

gospodyni i władzę pana domu. Dlatego stała niepewna i wahająca, wpatrzona z rodzajem uporów w światełka migoczące się na łysej, żółtkłą skórą obciągniętej czaszce mówiącego do niej człowieka. Światełka te niepokoiły ją, odrywały jej uwagę i błyszcząc na tle brudnej ściany, zdawały się powiększać lub zmniejszać, stosownie do poruszenia Budowskiego. Ten „pan”, rysujący się chudymi liniami pod zniszczoną tkaniną szlafroka i wyliczający ilość buraków, był dla niej czymś zupełnie niezwykłym – zjawiskiem prawdziwie nadnaturalnym. Stała więc przed nim w postawie pełnej uszanowania, ale niezmiernie zdziwiona, prawie przerażona.

Nagle powstał Budowski i skierował się ku pokojowi jadalnemu.

– Chodź! Podpisz inwentarz – przemówił tonem niezmiernie uroczystym, prowadząc Kaśkę do stołu, na którym w białym świetle lampy widziała jedną z czarnych książek. – Podpisz, co przyjmujesz i w jakim stanie, a niech cię miłosierdzie boże strzeże od nadwreżenia lub uszkodzenia czegokolwiek.

I z uporem maniaka rozpoczął czytanie nazw sprzętów kuchennych, które miały się znajdować w kuchni. Rynki, garnki, rondle, tasaki, sitka, durszlaki, wszystko to płynęło z ust Budowskiego, pyszniącego się prawie tym dziwnym dostatkim, jaki według niego rozpościerał się dokoła. Gromadząc z największym wysiłkiem każdy najdrobniejszy spręcik, przeceniał jego wartość, podnosząc go do znaczenia skarbów.

Nadwężony umysł starca kręcił się bezustannie w ciasnym kole owych trzech pokoi i kuchni, a wielkie wyteżenie władz umysłowych nad monotonnym zakresem pracy biurowej zmieniło go w dziwaka, prześladowanego manią oszczędności i widzącego w każdym z domowników rodzaj wampira ssącego jego krew i kieszeń, rujnującego sprzęty zdobyte długą i ciężką pracą.

Gdy przeczytał spis rzeczy, przywołał Kaśkę do stołu, a podawszy umaczone pióro, wskazał jej miejsce u dołu stronicy, gdzie miała podpisać swoje nazwisko.

Kaśka stała zawstydzona, nie poruszając się wcale.

Pisać? Miły Boże! Ona zaledwie czytać umiała; na pisaniu nie znała się wcale. Matula nie kazała ją uczyć, bo póki była mała, rosła odłogiem, jedząc siedem razy dziennie, a gdy podrosła, bieda zajrzała do chałupy i Kaśka musiała chodzić do fabryki na zarobek, – o pisaniu więc mowy być nie mogło.

Przecież tego wszystkiego nie może panu powiedzieć. Kręci więc uparcie palce aż stawy w nich trzeszczą, bo czuje się w tej chwili bardzo zawstydzona i pragnęłaby runąć wraz ze stołem i tą nieszczęsną książką do jakiejś ciemnej piwnicy i nie oglądać świata bożego.

Budowski już się niecierpliwi. Czemuż nie podpisuje? Może znajduje, że jej za ciężko przyjąć tyle pięknych rzeczy na swą odpowiedzialność? Niechże się wynosi co prędzej, ale zadatek musi oddać i nastęrczyć na swoje miejsce inną służącą.

Kaśce w oczach pociemniało.

Znowu bez służby? Wracać na stancję?

O! nie, przenigdy! Niebezpieczeństwo dodaje jej odwagi.

– Proszę wielmożnego pana – zaczyna cichym głosem – ja... nie umiem pisać... dlatego...

– Głupia! – przerywa jej Budowski. – Na! Weź pióro i zrób krzyżyk, tu, niżej. To wystarczy.

Kaśka ujmuje pióro i drżącą od wzruszenia ręką stawia koszlawą kreskę zakończoną olbrzymim kleksem. Druga, poprzeczna, przecina papier, zostawiając na białej karcie czarną, nierówną bliznę.

– Miłosierdzie boże! To bydlę psuje mi książkę. Jak ty potrafisz obejść się z powierzonymi ci sprzętami, kiedy takiego głupstwa porządnie zrobić nie umiesz?

Konfuzja Kaśki nie ma granic.

Chłopskim rozumem odgaduje przecież brak logiki w rozumowaniu Budowskiego. Zgodzono ją do kuchni, a nie do pisania. Mieszając łyżką w garnku, ścian garnka nie rozedrze, papier zaś – to co innego. Nie odpowiada jednak nic, bo to zawsze pan, choć trochę wydaje się być „durnowaty”, i przychodząc do sypialni, zaczyna słać łóżka.

I myśli sobie Kaśka: Jeśli ten młody człowiek, który czekał na panią, jest jej kochankiem, dlaczego nie porozmawiają ze sobą przed bramą lub nie pójdą na Wysoki Zamek? A przecież noc taka piękna! Zresztą, pani robi, jak sama chce, a Kaśce nic do tego. To jedno wie przecież, że to rzecz grzeszna, a choć pan przykry i brzydki, to nie godzi się oszukiwać go w sposób tak

szkaradny. Skoro pani pójdzie do spowiedzi, to ksiądz nie da jej rozgrzeszenia. Kaśka umarłaby ze wstydu, gdyby jej odmówiono rozgrzeszenia. To przecież bardzo miło, gdy ksiądz uwolni od grzechów i od kary.

Kaśka zapaliła małą lampeczkę i postawiła ją koło łóżka pana. Niewielka sypialnia tonęła w mdłym półświecie, wysuwając tylko regularne linie dwóch łóżek pokrytych czerwonymi wełnianymi kołdrami. Nad łózkami wznosiły się obrazy święte w złotych ramach Matka Boska i Pan Jezus w cierniowej koronie.

Budowski usiadł na swoim łóżku, przyglądając się uważnie ledwie dostrzegalnej cerze na środku kołdry. Kaśka spuściła storę u okna i przysunęła do łóżka pani maluchny stoliczek, na którym ustawiła karafkę z wodą.

Była to prawdziwa karykatura ten związek dwojga ludzi skutych nierozzerwalnym węzłem małżeńskim. On liczący cery na kołdrze w chwili, gdy ona słuchała banalnych słówek miłosnych, przygłuszonych turkotem i hałasem dorożki.

Kaśka powróciła do kuchni i zaczęła się krzątać, umywając filiżanki i czyszcząc samowar. Dopiero teraz poczuła, że jest głodna. Zjadła pozostawioną dla niej bułkę i przełknęła trochę zimnej herbaty. Olbrzymi jej organizm domagał się jednak gruntowniejszego posiłku. Całodzienna praca pobudziła jej apetyt, mimo to musiała poprzestać na wydzielonej przez pana porcji. Pieniądze przeznaczone na zakupno w mieście, bieleły na rogu stołu w formie świeżych dwudziestówek. Kaśka zgarnęła

je i zawiązała w rożek od ściereczki. Sen kleił jej powieki, mimo to nie chciała zasnąć przed powrotem pani. Zresztą według zlecenia, miała odsunąć drzwi wchodowe, które pan zamknął własnoręcznie. Uczyniwszy to, zaczęła odmawiać wieczorne pacierze, ukłękawszy przy łóżku i opierając spracowane ręce na białym prześcieradle, które pokrywało jej poślanie.

Według raz przyjętej zasady Kaśka miała odmawiać siedem „Ojczenaszów”, po siedem „Zdrowasiek” i jedno „Wierzę”. Ale fizyczne znużenie i wielkość doznanych świeżo wrażeń mąci jej myśli tak, że się w żaden sposób połapać nie może.

„Ojczy nasz” przebrnęło, przy „Zdrowaśce” jednak natłok nowych myśli płacze całe zdanie. Mimo woli postać Jana zajmuje plan pierwszy, błyszcząc szeregiem zdrowych zębów i lśniąca barwą skóry.

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... – Stanowczo Jan jest bardzo przystojny mężczyzna, zdrowy, a w ramionach taki szeroki!... tylko drwi sobie z Kaśki niemiłosiernie i ma taki dziwny sposób patrzenia.

– Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...

Ot! na schodach, kiedy się spotkali po ciemku, to jakoś łatwo dała mu radę, ale teraz stawia się i wyśmiewa.

– Błogosławion owoc żywota... – a Kaśka przedrwin nie lubi.

Ona wie, że jest głupia i brzydka, ale cóż ona temu winna? ... Byłoby to mądrze wyśmiewać się z tego, że ona za męża wyjść pragnie? Cóż wielkiego? Więc ma tak zmarnieć jak Różia i z „żonatym” na wiarę siedzieć?

Kaśka czuje, że coraz większa bezwładność ją opanowuje. Zbiera ostatki sił i spogląda na obrazy święte, wzdychając ciężko.

– O! Jezu!... chleba naszego daj nam dzisiaj... i wstąpił do piekieł, siedzi na prawicy...

Nie może mówić dalej.

Ten „niegodziwiec” Jan stoi przed nią i śmieje się ciągle. A ma wygląd porządnego mężczyzny... Zresztą jeśli Kaśka nie będzie zwracać uwagi na niego, toć zostawi ją w spokoju.

Coś ją bardzo ściska w żołądku. Głupstwo! Jeść jej się chce widocznie... I myśl bezwiednie powraca do słów przed chwilą szeptanych:

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

Coraz większa senność ogarnia Kaśkę... Przewyciężając się raz ostatni, patrzy przez chwilę osłupiałym wzrokiem na swe olbrzymie ręce, a za chwilę zapada w stan nieczułości i doznaje takiego wrażenia, jakby te ręce nie należały już do niej. Dla przekonania się, porusza je palcami. Lampka zaczepiona u ściany gaśnie powoli, napełniając wnętrze kuchenki nieznośnym śwędem. Słupek czarnego dymu unosi się aż pod sufit i opada deszczem czarnych, drobniuchnych płateczków na pozostawione na stole naczynia. Przez zakratowane okienko wpada przygłuszony turkot, jakiś hałas niewyraźny. To ostatnie poruszenie usypiającego miasta, nawet we śnie niespokojnego, które nigdy nie chce naprawdę zamilknąć.

Cała postać dziewczyny wyraża wielkie znużenie. Widocznie dzień dzisiejszy zmęczył ją, a szklanka letniej herbaty i sucha

bułka nie mogły jej posilić. Najpracowitsza maszyna odmawia chwilami posłuszeństwa. Ciało biednej sługi jest także poniekąd maszyną, która puszczona w ruch spełnia swą powinność, lecz zużywa swą siłę, a nie mając źródła dla odnowienia tejże, upada czasem pod nawałem wyczerpującej pracy.

Około północy drzwi frontowe skrzypnęły lekko i do saloniku wsunęła się pani domu, kierując się wśród ciemności ku drzwiom sypialni. Gdy łagodne światło lampki oblało jej oblicze, ktoś wiedzący, skąd wracała ta kobieta, zdziwiłby się niemało, widząc zupełny spokój w jej szarych oczach, na jej ustach anemicznych. Cudzołożna żona powracała pod dach męża zimna i nie różniła się niczym od tej apatycznej kobiety, która przez całe dni włóczyła tren brudnego szlafroka po szczupłej przestrzeni będącej dla niej niby domem, niby własnym pomieszkaniem.

Zdjęła z siebie szlafrok i rzuciła go z wyrazem najwyższej obojętności na ziemię. Stała tak przez chwilę z obnażonymi ramionami, które wybiegały z wąskiej koronki przy koszuli. Budowski zdawał się spać mocno, zagłębiwszy głowę w poduszki. Julia spojrzała w jego stronę, ale wyraz jej twarzy pozostał niezmienny. Nie można w nim było znaleźć ani śladu odrazy, łatwej do zrozumienia u kobiety wiarołomnej.

W tej chwili zbudził się Budowski i wsparłszy głowę na łokciu, odezwał się do żony:

– Jesteś wreszcie... Sądziłem, że już nie wrócisz...

Ona nie odpowiedziała wcale, nie odwróciła nawet głowy. Zebrała tylko swe wspaniałe włosy i dwoma splotami zgarnęła

je na przód. Zimna krew tej dziwacznej kobiety zdawała się przechodzić wszelkie granice. Wróciwszy ze schadzki miłosnej, okazywała spokój dziewczyny, wracającej z nabożeństwa majowego.

Budowski zapytał znów:

– Cóż stara?... Umarła?...

Julia odpowiedziała z obojętnością najwyższą:

– Nie, ale umrze niedługo.

Po czym wsunęła się do łóżka. Teraz dopiero dreszcz przebiegł jej ciało; zęby zgrzytnęły, chwytając nerwowym ruchem brzeg prześcieradła. Za chwilę leżała już spokojna – i nie drgnęła nawet, gdy syczący głos Budowskiego rzucił ku niej słowa:

– Kiedyż ta stara umrze! Miłosierdzie boże! Kiedyż ona umrze!

*

Kaśka objęła swoje nowe obowiązki i starała się zadość uczynić wszelkim wymaganiom państwa. Niełatwe to było przecież zadanie. W domu Budowskich szło wszystko na opak, a Kaśka czuła się do głębi wstrząśnięta tym nowym systemem, który jej wcale „nie pasował”.

Oszczędność posunięta do skąpstwa, złe pożywienie i nawet pracy zwalony na barki jednej dziewczyny mogłyby zniszczyć inny, mniej silny organizm, a przynajmniej nadwerężyłyby go

znacznie. Kaśka spełniała obowiązki zwierzęcia roboczego, które w pospolitym życiu nosi nazwę „służącej do wszystkiego”.

Od rana zwija się po szczupłym mieszkaniu, wycierając sękata, w deski ułożoną i źle zaciągniętą podłogę. Z rękami wspartymi na biodrach, z twarzą czerwoną i spoconą, starała się utrzymać na dwóch zniszczonych i zdartych szczotkach, które co chwila uciekały spod jej stóp bosych. To olbrzymie, rozrośnięte ciało dziewczyny transpirowało jak w łaźni pod wpływem ruchu przyśpieszonego. Kaśka lubiła jednak tę pracę. Stanowiło to dla niej rodzaj rozrywki, gdy przez silne pociśnięcie pozostawiała za sobą lśniącą bruzdę. Salonik napełniał się wówczas silną wonią rozgrzanego wosku, którym Kaśka szczotki pocierała. Zmęczona, siadała na brzegu niewielkiego dywanika, który rozciągał się pompatycznie przed kanapką, służąc za podstawę okrągłemu stolikowi, który dźwigał lampę olbrzymiej wielkości. Ta lampa miała swoją osobną historię. Nabyta na licytacji za bardzo niską cenę, stanowiła najcenniejszy sprzęt domowy. Nigdy niezapalana, pokryta umbrą z zielonej bibułki, wznosiła swą brązową urnę z powagą przełożonej wyższego pensjonatu żeńskiego. Budowski cenił bardzo tę lampę i sam czyścił ją, chowając do tego użytku kawałki szmatek zbieranych z rozmaitych i dość tajemniczych źródeł. Oprócz lampy znajdowała się w saloniku kanapa, sześć krzeseł wysłanych sianem i pokrytych ciemnowiśniową tkaniną wełnianą, dwa niewielkie druki olejne, przedstawiające krajobrazy dziwnej piękności, na których drzewa pierwszego planu były mniejsze

od drzew na drugim planie umieszczonych. Dalej przybita była do ściany etażerka, pełna psów porcelanowych, książek, flaszeczek od wody kolońskiej, filiżanek i innych drobiazgów. Firanki muślinowe, w wielkie ordynarne desenie, nawleczone na drąg biało lakierowany zwieszały się sztywnymi, rzecz można, złamanymi fałdami u niskich okien, opatrzonych storami płóciennymi.

Jakkolwiek w saloniku tym było mało miejsca, a nieliczne sprzęty dotykały się wzajemnie, to panowała w pokoju tym przeraźliwa próżnia hotelowa – jakaś woń pustkowie przerażającego swoją nagością i szarawym, trywialnym deseniem, jakim ściany te były powleczone. Brakowało tam kobiety z jej artystycznym nieładem, ze stoliczkiem od robót i niskim, miękkim fotelem; brakowało żardinierek prostych, koszyczków z trzciny, które stanowią główny przystrój ubogich pomieszczeń. Żadna zieloność nie śmiała się u okien, nigdy nawet gałązka bzu nie rozjaśniła ponurego pokoju.

Kaśka, do której kwiaty – a zwłaszcza te tanie, o wielkich gałęziach, co wieś przypominają – śmiały się zawsze po przyjacielsku, kupiła raz za trzy centy cały pęk bzu i powróciła z nim triumfalnie do domu. Przez całą drogę wachała liliowe kwiaty i wciągała w siebie woń pełnymi piersiami. To ją trochę orzeźwiało i niweczyło zapach szczypiorku i cebuli, którą niosła w koszyku. Przeszedłszy do domu, nalała świeżej wody do małego, kamiennego dzbanuska i zaniósła do pokoju, aby w sypialni na komodzie postawić kwiaty.

Budowski golił się właśnie i dostrzegł w lustrze Kaśkę niosącą bukiet. Przeraził się widokiem tego niesłychanego zbytku. Kwiaty? Po co? To dobre dla marnotrawców, którzy lubią wyrzucać pieniądze za okno. I zanim Kaśka mogła przemówić słowo, napadł na nią z najwyższą furią, robiąc jej gorzkie wyrzuty za zmarnowane pieniądze. Ona tłumaczyła się, jak mogła. Sądziła, że pani lubi kwiaty... a to przecież niewielki wydatek.

Julia podczas całej sprzeczki milczała jak zwykle, patrząc na tę scenę oczyma od snu nabrzmiałymi. Wzrokiem tylko śledziła ten pęk drobnouchnych liliowych gwiazdeczek z żółtym delikatnym środkiem. Woń bzu dolatywała do łóżka, a ona, przymykając oczy, wciągała ją bladymi nozdrzami. Wyciągnąć wszakże ręki dla ujęcia kwiatów nie chciała lub – nie śmiała. Budowski stał tymczasem wciąż przed Kaśką, skrzecząc coraz bardziej i obsypując dziewczynę gradem wymówek. Był on wstrętny i śmieszny w tych olbrzymich pantoflach i flanelowym kaftaniku żony, który przez oszczędność z rana dodzierał.

Kaftanik ten, przybrany przed laty czerwonymi wypustkami i ozdobiony z tyłu szeroką fałdą, opierał się na spiczastych ramionach Budowskiego, zaznaczając mu stan pod samymi łopatkami. Gniew jego rósł w miarę odpowiedzi Kaśki, broniącej się coraz uparciej, coraz wyraźniej. „Wszystkie panie lubią kwiaty, nawet Żydówki”. I mówiąc to, zwraca się w stronę pani, szukając poparcia. „Zresztą przed Matką Boską kwiatek postawić się godzi”.

– Tu nie ma pani! – woła Budowski. – Ja tu jestem i panią, i panem, a Matka Boska bez kwiatów się obejdzie.

Kaśka spogląda na Julię, zawsze nieruchomą, i na zawieszony nad łóżkiem obrazek Matki Bożej. Zdaje jej się, że obie pragną gorąco bzu i z nagłą determinacją postępuje naprzód.

– Proszę, niech pani weźmie. – I deszczem wonnym obsypuje starą, czerwoną kołdrę, pod którą leży Julia.

– Wytrącę ci z pensji! – woła Budowski.

Kaśka, wychodząc z pokoju, wie dobrze, że trzy centy przepadły na wieki wieków. Pan nie żartuje i z pewnością wytrąci pieniądze. Zresztą niech i tak będzie, ta biedna pani nigdy nie powącha nawet bożego kwiatka, niech się ucieszy. I nastawiając rosół, myśli sobie Kaśka, co pani z tym bzem pocnie.

Gdy pan wyszedł do biura, udała się Kaśka do sypialni pani, aby zobaczyć, co zrobiła z bukietem. Cała podłoga zasłana poszarpanymi kwiatami mieniła się liliową barwą bzu i zielonością liści. Widocznie Budowski w przystępie złości wydarł żonie kwiaty i poszarpawszy je na drobne szczątki, rzucił na podłogę. Julia w białym kaftaniku siedziała przy stoliku służącym jej za toaletkę i czesała włosy nadłamanym grzebieniem. Zdawała się być zupełnie spokojna. Nic nie zdradzało w niej żalu za zniszczonymi kwiatami. Kaśka doznała bardzo przykrego uczucia, widząc te pachnące, drobne gwiazdeczki podarte, poszarpane, zmięte i rozesłane na podłodze. Wybrała kilka gałązek, które cudem jakimś ocalały, zaczepiwszy się o bramowanie kołdry. Gałązki te zatknęła za

złożoną ramę obrazu Niepokalanego Poczęcia. Teraz jest już zadowolona.

W dwa tygodnie po sprowadzeniu się Kaśki na nową służbę weszła pani wieczorem do kuchni i podając Kaśce znany nam list, nakazała jej wypełnić swe dawne zlecenie, to jest podać pismo panu z dodatkiem, że przyniósł je posłaniec. Kaśka nie śmiała odmówić, wplątawszy się raz jeden w tę całą historię, nie mogła być nieposłuszną i wieczorem, przy podawaniu samowaru, oddała list Budowskiemu z tą wszakże różnicą, że dziś, na pytanie Budowskiego, powtórzyła jak echo: „Przyniósł posłaniec”.

Manewr powiódł się, a za krótką chwilę, wiarołomna żona opuszczała dom męża, aby oprzeć głowę na ramieniu kochanka. Towarzysząca jej jak zwykle Kaśka dostrzegła we włosach Julii gałązkę bzu wyjętą spoza ramki obrazka. Kaśka za żadne skarby nie zrobiłaby tego. Co należy do Boga, to już należy, a nikt nie ma prawa stroić się w kwiaty, w które przybrano groby i obrazy święte. Gdy dorożka uwiozła Julię, Kaśka stała długo pod murem kościoła, zamyślona, nie zważając na zaczepki przechodzących żołnierzy. Kiedy jeszcze była w domu, chodziła do kościoła uczyć się katechizmu i tam nasłuchiwała się nieraz bardzo ładnych historii, które ksiądz pięknie, a powoli rozpowiadał. Między innymi mówił on o zatwardziałym grzeszniku, który chciał zdjąć Panu Jezusowi złotą koronę ozdobioną ślicznymi, czerwonymi kamieniami. Otóż złoczyńca wybrał się w nocy i przystawiwszy drabinę, sięgnął po koronę. Ale Pan Jezus wyciągnął żelazne

ramię, pochwyił rękę niegodziwca i nie chciał jej puścić. Ta piękna historia przejmowała Kaśkę strachem. A pani wzięła dziś gałązkę bzu spoza ramek.

Wróciwszy do domu, stanęła z panem do obrachunku, a ten wygłosił na zakończenie:

– Za bez nie liczę, bo wytrączę ci z pensji.

Kaśka doznała w tej chwili dziwnego ciśnienia „pod piersiami”. Trzy centy, toć to nie majątek... ale zawsze pieniądz, co piechotą nie chodzi; a potem ten bez poszedł i tak na marne! Nikt z niego nie użył tylko trzy centy przepadły... Od tej chwili Kaśka nie kupowała nigdy kwiatów i omijała stragany przeładowane różnobarwnym kwieciem. Kaśka pracowała po całych dniach. Nigdy spoczynku, nigdy wytchnienia! Był to wielki deptak, który ugniatała ciężkimi stopami, pochylając kark pod jarzmem włożonym na nią ręką fatalności. Powróciwszy, nastawiała obiad, starając się, o ile możliwości, ukraść trochę czasu dla przeprasowania spódnicy pani lub koszul pana. Drzewo wydawano jej kawałkami, bez względu na to, czy kawałki były mniejsze lub większe, lub czy potrawy potrzebowały do gotowania się dłuższego czasu. Często płakała Kaśka, widząc ogień pochłaniający ostatnie polano, podczas gdy ryż był jeszcze twardy i białął na dnie garnuszka. Deski podtrzymujące pościel na łóżku stanowiły wtedy nadzwyczajny zasilek, a raz nawet odważyła się Kaśka spalić stary szaflik, którego szczątki znalazła rozsypane w piwnicy.

Niska, ciemna kuchenka, przepełniona wonią cebuli, grzybów

i nieświeżego masła, zdawała się być małym przedsiönkiem piekła, w którym wszakże musiała żyć i pracować kobieta złożona z tych samych cząstek, z jakich inne składają się kobiety. Młoda, zdrowa, tęga, oddawała wśród tych ciemności i gorąca całą swą siłę, a to wszystko za odrobinę lichej strawy, za kość od mięsa, którą dano jej dla ogryzienia, za czerstwą bułkę znaną w kącie kredensu i za wspaniałe wynagrodzenie kilku guldenów, które rzucano jej co kwartał, odtrąciwszy przedtem wszystkie „szkody”, jakie w zbytnim pośpiechu robić nietrudno.

I zgrzana, zmęczona, śpiesząc się wiecznie, biegała od ogniska do stołu, od stołu do deski do prasowania – żyłując mięso, zalepiając gliną popsute drzwiczki pieca, krochmaląc hafty spódnicy, płuczac ścierki lub biegnąc z konewką po wodę. A ten strach wieczny, czy coś się nie spali, nie popsuje! Naczynia zużyte, z przepalonymi dnami... masła niewiele... a pani ani zajrzy do kuchni, ani się zatroszczy!... Kaśka nie lubi, aby jej zagłądano w garnki tak, jak to było u „Żydów”. Ale zawsze należy się z panią naradzić, zapytać. Gdy coś zepsuje, pan skrupulatnie oblicza, a potem wytrąca z pensji. Czasem gorąca dusza upadnie na nogę lub węgle wysypią się z pieca i trzeba czym prędzej podnosić je palcami, a choć skóra gruba i przyzwyczajona do ognia, to bąble wyskakują nierzadko i tak się czasem węgiel do ręki przyczepi jak pijawka, aż skóra skwierczy. Obcęgów nie ma, bo pan mówi, że to zbytek i wymysł niepotrzebny...

Ileż takiej drobnej nędzy, bólu i przykrości cierpi Kaśka w

tej ciemnej i ciasnej kuchence, w której uwija się od rana do późnej nocy, oddychając ciężko, pełna dobrej woli i energii, i niezużytej jeszcze siły! Gdy wyda obiad, umywa naczynie, szoruje rondle, klęcząc na podłodze, powalana cegłą, z włosami opadającymi na skronie, wynosi szafliki, potykając się na wąskich i ciemnych schodach. Pan sam wydziela jej cienką kromeczkę chleba, którą ona zjada najczęściej dopiero późno w nocy. Kaśka ma dziwny dar do robienia tak zwanych „szkód”. Jej wielkie, rozrośnięte członki obracają się z trudnością w szczupłej kuchence. Wyciągając rękę, uderza zawsze o jakiś sprzęt; schylając się, musi o coś potrącić, przewrócić, uszkodzić. Przy tym kuchenka jest bardzo ciemna, a pan przez oszczędność nie pozwala zapalić we dnie lampki.

Nic więc dziwnego, że bezustannie się coś tłucze, a Kaśka rada nierada odkupuje z bólem serca zbitą szklanekę lub talerz, medytując nad swą własną niezgrabnością i dziwacznością pomysłu w budowie tak ciemnej kuchni.

Po obiedzie i umyciu naczyń, zabiera się Kaśka do prania i składania bielizny albo dąży do magła z zawiniątkiem pod pachą. Co tydzień jest tak zwane „małe pranie”, a co miesiąc „wielkie”, przepelniające kuchnię przykrą wonią sody, mydła, brudnej bielizny i kłębamii duszącej pary. Ile to wtedy zużywa się wody, którą Kaśka musi sama przynieść i zlać na dzień przed rozpoczęciem prania do beczki ustawionej koło drzwi prowadzących z kuchni na korytarz! Kaśka, przechylona na lewą stronę, nosi i nosi tę wodę i wylewa ją do beczki. Zdaje się jej, że

z beczki ktoś dno wyjął, bo nie ma końca noszenia i wody wcale nie przybywa. Postawszy chwilkę, chwyta znów pustą konewkę, aby zejść na dół i za chwilę powrócić. Jest to wędrówka dziwnie przykra wśród tych ciemnych schodów, od których każdemu się w głowie kręci. Do tego deski wąskie spod nóg się usuwają i cała noga nie może oprzeć się wygodnie. Ciężar ciągnie jak zwykle w tył; Kaśka czuje, że kiedyś potknie się i spadnie ze schodów. Nie ma nawet poręczy, żeby się zatrzymać w razie wypadku. To samo jest z noszeniem drzewa. W dodatku polana wysuwają się i staczają po schodach. Kaśka musi po nie wracać ze świecą, drżąc z obawy, aby kto tymczasem polan sobie nie przywłaszczył. Gdy zapadnie wieczór, Kaśka zapala lampkę i kończy swe dzienne zatrudnienie przy sztucznym świetle. Gdy ma wiele pracy, pierze lub prasuje do północy, a czasem i dłużej. W krótkiej spódnicy, bosa, z rękawami odwiniętymi poza łokcie, olbrzymia jej postać majaczy w kłębach pary. Żółty płomień niewielkiej lampeczki migoce wśród tych białych obłoków jak niepewne światło trzeciorzędnej gwiazdki. Sprzęty kuchenne kryją się w tym półświecie, migocąc tylko żółtą barwą mosiądzu lub srebrnym blaskiem blachy.

Tylko rozpalone drzwiczki od pieca czerwienią się przejrzystą purpurą, posypane lekką warstwą rdzy, i drżą poruszane silnym pędem powietrza. U stóp Kaśki całe stosy bielizny poskręcanej, ułożonej w małych wanienkach, szaflikach i glinianych miskach, wiją się jak węże białe, to znów cieńsze, sinawe, zmoczone – całe gniazda gadzin martwych, nieruchomych. Prawie połowę kuchni

zajmuje balia, rozwarta, szeroka, okrągła, pełna gorącego ługu i świeżo z kociołka wyrzuconej bielizny, opiera się na dwóch krzeselkach, z których jedno opuszcza frędzlę z potarganej słomy i zamiast czwartej nogi ma podpórkę z sękatego polana.

Ponad balią schyla się Kaśka, zanurzając odważnie swe czerwone i popekaną skórą pokryte ręce w gorący odwar ługu dla wydobycia zeń pojedynczej sztuki bielizny i skręciwszy ją należycie, odkłada do tak zwanego „naparzania”. Skręcając z całej siły mokre płótno, stęka Kaśka mimo woli, a grube krople potu spadają z jej czoła.

Przez otwarte okienko wpada wprawdzie prąd świeżego powietrza, ale wąty to i zbyt wąski pasek. Zaduch panujący w kuchni pochłania go z żarłocznością dzikiego zwierzęcia i ani odrobiną nie dzieli się z dziewczyną, pragnącą świeżego powietrza. Od strony miasta dolatuje to turkot dorożki, to jęk, to śmiech ludzki. Miasto usypia albo budzi się, według potrzeby i upodobań mieszkańców. W nocy czuwają tylko bogacze lub nędzarze. Stara to jak świat historia, a przecież wiecznie nowa. Kareta wioząca upudrowaną damę przemyka szybko po bruku, a turkot jej miesza się z bolesnym westchnieniem Kaśki, której palce koło paznokci pękają ze skręcania bielizny.

Zapadła noc cicha, wspaniała, pełna tajemniczych szeptów, zwierzeń miłosnych lub planów zbrodniczych. Roztoczyła zasłonę jak paw swój ogon różnobarwny. Milionami gwiazd świecących i urokiem ciemności drażni umysły, podniecając ciekawość. Miasto lubi noc i chętnie zarzuca na siebie czarny

jej welon. Miasto jest grzesznicą, która bez czarnej zasłony nie pójdzie na schadzkę miłosną. Dlatego to miasto tak chętnie chłonie w siebie ten deszcz z ciemnego popiołu, który z zachodem słońca spada na dachy domów. Równocześnie z zapaleniem latarni ulice przybierają wygląd zupełnie odmienny. Niepozorne domki stają się kamienicami, a okazalsze budynki rosną do wielkości pałaców. Ubogie wystawy sklepowe leją potoki światła gazowego, kupy nagromadzonych kamieni lub cuchnącego błota nikną w ciemnościach. Rzezimieszki gotują się do zwykłych wypraw nocnych, a z otwartych drzwi drugorzędnych restauracji wylewa się na ulicę pomieszany szcęk talerzy, nawoływanie kelnerów i bezładna, a krzykliwa rozmowa gości. Gdzieniegdzie z otwartego okna wybiegnie na ulicę dźwięk fortepianu lub głos jakiejś domoroślej artystki. Zagłuszy go przecież piosnka ulicznika lub turkot przejeżdżającej dorożki.

I noc, ta najpiękniejsza przemiana – tak poetyczna, tak wspaniała, napełnia miasto gorączką niespokojną, nigdy nienasyconą żądzą zabawy lub przywłaszczenia sobie cudzej własności. Rzec można, że wraz z nadejściem nocy jakieś niezdrowe miazmaty zapełniają powietrze i wciskają się do mieszkań, a potem do płuc ludzkich. Mrowisko nazwane miastem zaczyna się poruszać, niepokoić; ludzie płaczą, śmieją się, tańczą lub obdzierają, stosownie do upodobania. Z nadejściem świtu gorączka ustępuje, powietrze oczyszcza się – kochankowie rozstają się, pijacy padają bezprzytomni i zasypiają,

gracze rzucają karty, złodzieje przestają kraść i wszystko powraca do porządku normalnego. Ponad miastem rozpościera się szarawe niebo, przez które przedzierają się niepewne blaski złotawe. Jeszcze kilka tonów balowej orkiestry, jęk morderwanej ofiary, wykrzyknik pijaka – a wszystko zapadnie w głęboki sen ołowiany, od którego nabrzmiewają powieki. Rozpusta i zbrodnie ustępują, a praca dnia białego panuje znowu, obejmując w swe posiadanie ludzi czynu i dobrej woli. Po zacieśnionych ulicach i zakątkach błakają się cienie nocne, niepewne, drżące, jakby przesiąknięte wyziewami alkoholu, którym noc skrapia płaszcz swój królewski, aby nim potem owinąć rozmarzone głowy i ciała ludzkie.

Pod ścianami bielejących domów biegnie szybko dziewczyna, której noc wydarła urok nieświadomości, w jakiej dotąd żyła. Biegnie szybko, pragnąc uniknąć światła dziennego, pogrążona w rozpamiętywaniu nad niedawną przeszłością, której już nic i nikt przywrócić jej nie może.

Jednokonnny fiakier zatrzymał się przed kamienicą. Z powozu wysiadł młody i piękny mężczyzna. Ruchem nerwowym szarpie węzeł krawatki. Wchodząc do bramy, rzuca fiakrowi rozkaz czekania na zapłatę. Nic dziwnego. Noc ogołociła go ze wszystkich pieniędzy, jakie posiadał. Przegrał wszystko. Karol, drzemający w przedpokoju, otwiera swój zniszczony i stary pugilares, aby zapłacić dorożkę, którą „jaśnie pan” z klubu powrócił. Szuler rzuca się na otomankę i każe zapuścić ciemne zasłony u okien. W pokoju robi się sztuczna noc. Młody ten

człowiek żyje tylko nocą.

Z otwartych drzwi nocnej kawiarni wysunął się bokiem człowiek już niemłody, o silnym, siwiejącym zarostcie. Idzie niepewnym krokiem, mrugając zaczerwienionymi powiekami i bełkocąc wyrazy niezrozumiałe. To literat. Przed nim rysuje się w niepewnym blasku poranka jakiś obdarty włóczęga. Obaj patrzą na siebie wzrokiem osłupiałym. Po chwili literat kiwa protekcyjnie głową i przechodzi na drugą stronę ulicy. Obdartus woła za nim: „Moje uszanowanie!”. Za chwilę obydwaj giną w jakimś zaułku, a może we drzwiach innej kawiarni lub szynku.

Od strony miejskiego ogrodu i pól otaczających miasto powiewa miłe, poranne powietrze. Prąd ten wypędza resztki wspomnień nocnych, włóczących się po niezamiecionych trotuarach. Szmer kupionych lub występnych pocałunków, szelest wygranych przy zielonym stoliku banknotów, dźwięk niewypróżnionych kieliszków, ostatni krzyk dogasającej orgii – wszystkie te szmery nocne, niewyraźne, złączone w jedno jak olbrzymi akord źle dobranej orkiestry, przesuwiają się z ulicy na ulicę, gnane światłością dnia białego, zawstydzone, pragnące ciemności sztucznej.

Nie dla wszystkich jednakże czarny welon nocy niesie pragnienie rozkoszy, zabawy, słowem – zadowolenia podrażnionych namiętności. Są istoty, które z nadejściem nocy zapalają światło i obliczają ilość godzin i nawał pracy, który muszą pokonać przed udaniem się na spoczynek. I w mdłym

światle lamp występują zgięte plecy, spuszczone głowy, chude profile o wydłużonych nosach i zapadłych policzkach. Pochyleni nad biurkami, kreślą szybko wyrazy na podłużnych ćwiartkach papieru lub opierając znużoną głowę na przedwcześnie zżółkłą skórą obciągniętej dłoni, pogrążają się w zamyśleniu i pracy.

Kobiety blade, bez uśmiechu na ustach, siadają przy maszynach do szycia, opierając zbolale nogi na misternie wyrobionej podstawie, której deseń wpija się w rozpalone i najczęściej tylko pończochą osłonięte stopy. Dokoła nich wznoszą się całe stosy falban, upięć, staników, a o kilka kroków na drucianej podstawie bezgłowa lalka prezentuje sztywną kibić, strojną w świeżo wykończoną suknię. Inne znów stają do balii, nakładają węgle w żelazko, a cała troska tych istot zwykle krystalizuje się w pytaniu: „czy nafta wystarczy i czy skończy się to wszystko przede dniem?”. Bezsennie spędzona noc, a w następstwie niszczenie sił nie idzie w rachubę. To drobnostki, o których się nie myśli. Człowiek tak długo zdrowy, dopóki nie zachoruje, a gdy go powali choroba, to albo umrze, albo wyzdrowieje. A praca nie czeka; każdy musi pracować za siebie; z czegoż bowiem żyć będzie?

Tak samo rozumowała Kaśka, gdy pochylona nad balią śledziła z trwogą ubytek nafty w rezerwuarze małej lampki kuchennej. Pranie bielizny – to nie żarty. Siedem razy przechodzi każdy kawałek przez ręce, zanim się go rozwiesi na sznurach. Wierzch ręki puchnie od silnego tarcia jak poduszka, a skóra ściera się zupełnie. Kaśka wie, że na to pomaga gliceryna,

ale wydawać dziesięć centów na głupie ręce, to się nie opłaci. Wprawdzie u pani stoi na komodzie mała flaszeczka, a pani mówiła raz, że to jest właśnie gliceryna, ale Kaśka nie śmie prosić o kilka kropel. Pani mogłaby się rozgniewać za taką śmiałość niezwykłą.

Kaśka ma oprócz nawału pracy jeszcze kilka udręczeń więcej moralnej natury. Jakkolwiek jest tylko biedną sługą, lubi towarzystwo i gawędkę z jaką przystępną osobą. Pinkusowa Lewi kręciła się przez cały dzień boży po kuchni, gadając jak nakręcona katarynka. Kaśka wciągnęła się powoli w tę paplaninę i wiodła nieraz z panią długie dysputy, kończące się sprzeczką. Gdy Pinkusowa milkła, Kaśka, po skończonym zatrudnieniu koło gotowania obiadu, oddawała się pogawędce z niańką, również jak ona chrześcijanką, piastującą na rękach rudego, pokrzywionego Bernania, jedyne go potomka rodu Pinkusów Lewi. U Budowskich była Kaśka wiecznie sama, zamknięta jak w więzieniu w ciemnej i ciasnej kuchni, odgadując poza wilgotnymi murami słoneczną jasność letnich poranków lub miły chłód spływający z nadejściem nocy. Kręciła się więc w milczeniu po swej klatce, dławiąc słowa cisnące się na usta, tłumiąc w sobie potrzebę rozmawiania i starając się ulżyć sobie przeciągłymi westchnieniami podobnymi do jęku duszy potępionej. Miała całe piersi, całe gardło pełne jakichś wyrazów, które potrzebowała wypowiedzieć, jakkolwiek treści tych słów dokładnie określić by nie potrafiła. Pani siedziała zawsze w sypialnym pokoju zachmurzona i beczynna albo leżała na łóżku

wpół ubrana, milcząca, z ustami zaciśniętymi.

Jeżeli się odezwała, to mówiła zawsze głosem łagodnym, cichym i nie przeciągała rozmowy. Owszem, starała się zakończyć ją jak najrychlej.

Inne służące z kamienicy traktowały Kaśkę z góry i z lekceważeniem nieopisanym. Służyła u „państwa”, mającego najgorszą opinię w całym domu. Skąpstwo Budowskiego było znane, a o nocnych wycieczkach Julii krążyły głuche wieści po korytarzach i schodach kuchennych. Przy tym mieszkali na trzecim piętrze, nie mieli przedpokoju, a drzewo kupowali w sklepiku na polana. Tacy ludzie nie mogą wzbudzać u służby szacunku, a tym mniej dziewczyna pozostająca w służbie u takich „państwa”. Kaśka dostrzegła od razu nieprzyjazne twarze swoich koleżanek. Na jej grzeczny ukłon lub pozdrowienie odpowiadano mruknięciem lub lodowatym milczeniem. Przy tym wiadano, że przyszła wprost od „Żydów”. Nie musiała być wiele warta, skoro służyła po Żydach. I kucharka pani hrabiny, osoba pobożna, należąca do Bractwa Różańcowego i włócząca się po kuchni z miną zakrystiana, przewracała oczy białkami, objawiając w ten sposób wielką wątpliwość co do rodzaju kary, jaką Kaśka powinna w przyszłym życiu odbyć za wysługiwanie się Żydom. Inne służące, a zwłaszcza młoda dziewczyna imieniem Marysia, napełniająca wąskie schody szelestem spódnic wykrochmalonych, nie ze względów religijnych, ale z powodu usposobienia antysemickiego, odwracała się demonstracyjnie od Kaśki i nie chciała wdawać się w bliższą

znajomość z „tłumokiem” z trzeciego piętra.

Ta nazwa „tłumok” przyrosła powoli do pleców Kaśki. Słyszała ją nieraz, przechodząc koło otwartych drzwi kuchennych, skąd wydobywał się nosowy głos kucharki hrabiowskiej i skrzekliwy głosik młodej pokojówki.

Marysia służyła u starej panny, a głównym jej zatrudnieniem było wyprowadzanie na spacer dwóch rozczochranych pinczów, noszących słodkie nazwy Parysa i Lali.

Kaśka czuła, że jakaś nieprzebita ściana dzieli ją od innych kobiet, które powiewając różowymi lub seledynowymi sukniami, wychodziły co niedziela na spotkanie kochanków. Ona nie miała ani różowej sukni, ani kochanka. Zresztą nie wolno jej było wychodzić co niedzielę z domu. Budowski zapowiedział wyraźnie, że może wyjść tylko raz na miesiąc na trzy godziny. Przesąd nie pozwalał jej zająć się szyciem, lub jakąś inną robotą. Umywszy się więc i uczesawszy starannie, siadła na kuferku, oglądając paznokcie lub wykrzywiając nogi. Były to niewątpliwie wcale przyjemne zajęcia, ale nie mogły zapełnić kilku godzin popołudniowych, które wlokły się z przerażającą powolnością. Raz spróbowała Kaśka zaśpiewać piosenkę, zasłyszaną jeszcze w fabryce. Słów nie pamiętała wprawdzie, ale nutę uchwyciła dobrze. I naprzód zanuciła nieśmiało jakąś melodię w rodzaju krakowiaka, poddając się wspomnieniom, jakie piosenka ta niosła za sobą. Później ośmieliła się – i piosenka nucona przez dziewczęta fabryczne zadzwoniła wśród ciasnych ścian kuchenki. Nagle otworzyły się drzwi od jadalnego pokoju. Stała

w nich Budowski, dnia tego jeszcze bardziej zdenerwowany, i ruchem ręki nakazał rozśpiewanej dziewczynie milczenie.

– Miłosierdzie boże! – jęknął sknera. – Czego tak wyjesz? Czego?

Kaśka zawstydziała się bardzo. Chciała sobie trochę pośpiewać, aby własny głos usłyszeć, a pan napada na nią i mówi, że „wyje”. Uczuła się w tej chwili bardzo zgnębiona i smutna. Resztę wolnych godzin spędziła skurczona na brzegu kuferka, lękając się poruszyć, aby nie sprawić szelestu własną spódnicą. Przez zakratowane okienko widać było szmat nieba o ciemnolazurowej barwie. Kaśka wpatrzyła się w czysty ten błękit i coś ją ścisnęło w gardle. Była bliska płaczu – taka młoda jej dusza rwała się do świata i ludzi. Nie była przecież beksą, ale ot po prostu taka ją napadła tęsknica, że aż ją we środku bolało. Cały tydzień harowała koło bielizny, a w niedzielę nawet nie ma się z kim ucieszyć, nagadać...

Siedzi w kącie i patrzy na odrobinę nieba, i myśli, jakby to dobrze było w taki dzień pójść na miasto, a nawet pojechać tą koleją, co to po mieście chodzi, a konie ją ciągną.

Trzeciego tygodnia swej bytności u Budowskich Kaśka, schodząc w niedzielę popołudniu po wodę, spostrzegła przez uchylone drzwi kucharkę pani hrabiny siedzącą koło okna z książką w rękę i czytającą przez okulary godzinki czy psalmy pokutne. Kaśka nie miała książki, ale czytać, choć z trudnością, mogła. Przecież książka to nie gliceryna, pani nie rozgniewa się za pokorną prośbę o pożyczenie jakiej pięknej i pobożnej książki.

Kaśka usiądzie przy oknie tak jak ta kucharka od pani hrabiny i śliczne modlitwy czytać sobie będzie. Przynajmniej przejdzie popołudnie, a czytać może po cichu, nie przeszkadzając panu, tak jak wtedy, gdy napadła ją chętka śpiewania.

I ułożywszy rzecz całą, wchodzi Kaśka do sypialni, w której jak zawsze znajduje się pani, leżąc z otwartymi oczami na łóżku.

Dla Julii niedziela ma tę odrębną cechę od innych dni tygodnia, że Budowski pozwala jej ubrać się w ciemnozieloną, przystrojoną aksamitem suknię i prowadzi ją rano do kościoła. Julia sukni tej przez cały dzień nie zdejmuje, ale nie zważając na jęczenie męża, wygniata aksamit, leżąc zupełnie ubrana na łóżku.

Gdy Kaśka stanęła przed nią, Julia otworzyła wiecznie zaspane oczy i spojrzała z pewnym rodzajem zdziwienia na zaczerwienioną twarz dziewczyny.

Budowski oddał się w tej chwili czyszczeniu lampy, a było to zwykłe jego zatrudnienie, które mu wypełniało długie popołudnie niedzielne. Gdy Kaśka cichym i nieśmiałym głosem wyjąkała swą prośbę, o pożyczenie jakiej pobożnej książki, Julia zakłopotana się szczerze.

Lubiła Kaśkę bardzo i czuła dla niej pewien rodzaj wdzięczności za dopomaganie w oszukiwaniu męża; chętnie uczyniłaby zadość jej żądaniu, ale prośba Kaśki tak jest dziwna, że doprawdy nie wie, jak wybrnąć z tego położenia.

Służąca prosi o książkę!

Cóż jej da do czytania ona, która pogrążona w swej apatii

sama oprócz kroniki w „Kurierze” nic prawie nie czyta? W tym bezdusznym, ślimaczym życiu, jakie pędzi, nie przyszło jej nigdy na myśl, że służąca może poprosić o pożyczenie książki. Mimo wszystko, czuje słusność żądania Kaśki i przygryzając bezkrwiste wargi, wysila swój umysł dla wynalezienia jakiegoś utworu literackiego, którym by bez wiedzy męża rozporządzić mogła. Prosić Budowskiego o pożyczenie jakiejś książki drzemiącej na etażerce wśród pustych buteleczek od wody kolońskiej, znaczyłoby to samo, co nastąpić gniazdo żmij. – Ona sama książek nie posiada, ma tylko jedną do nabożeństwa, oprawną w aksamit – ale egoizm przeważa dobroć serca. Ręce Kaśki ogromne, o szerokich, spłaszczonych palcach, jakkolwiek czysto wymyte, nie dają dostatecznej rękojmi, że oprawa *Wspomnienia wiernych* powróci z kuchni nieuszkodzona.

Trzeba przecież jakoś zakończyć z tą dziewczyną, która stoi wciąż z pokorą wielką, czekając na wypełnienie zaniesionej prośby.

Nagle Julia przypomina sobie, że idąc za mąż dostała od matki książkę, noszącą tytuł: *Kobieta, czyli historia tży i śmiechu*, oryginalnie napisaną przez J. G.

Julia nie czytała nigdy tej książki, schowała ją do komody pomiędzy prześcieradła i otwierając szufladę, widzi czasem okładkę, czerwieniącą się wśród białych fałdów maglowanego płótna. Tak będzie najlepiej; choćby nawet Kaśka tę książkę zniszczyła, to niewielka szkoda, bo oprawa tania, papierowa, źle naśladowująca skórę.

Czy forma i treść będzie przystępna dla umysłu dziewczyny, o to Julia się wcale nie troszczy. Chce czytać, niech czyta; czy zrozumie, czy skorzysta – to mniejsza. Zresztą lepiej by zrobiła, położywszy się spać, – szorowała podłogę i o drugiej w nocy spać poszła.

Mimo to objaśnia Kaškę, gdzie książkę znajdzie w komodzie. Sama jest za ciężka, aby wstać i *Historię tży i śmiechu* swej słudze wręczyć. Gdy Kaška, przycisnąwszy do piersi niewielką, wąską książeczkę, wynosi się z sypialni, Julia oddycha swobodniej i zatulając prawie całą twarz w poduszkę, zasypia tym niezdrowym pólśnem, właściwym tylko anemicznym kobietom.

Kaška uszczęśliwiona powracała do kuchni. Nareszcie ma rozrywkę, godziny jej teraz szybko upłyną, wie o tym. Zapewne pani dała jej historię o jakiej dobrej królowej, która zamiast chleba pokazała róże swemu srogiemu nielitościwemu małżonkowi lub o tym dobrym świętym, który biedne sierotki po ulicach zbierał i opiekował się nimi jak ojciec rodzony

Kaška to wszystko czytała dawniej, teraz rada by przypomnieć sobie niektóre szczegóły; a wreszcie, co piękne i dobre, to można dziesięć razy odczytać. To nic nie zaszkodzi. Teraz czwarta. Jeszcze cztery godziny czasu do nastawienia samowaru i podania herbaty; przeczyta więc przynajmniej pół historii, a może zdąży przeczytać całą. Zresztą jeśli nie skończy, to poprosi pięknie panią, aby pozwoliła zatrzymać książkę do drugiej niedzieli. Wprawdzie ma dozwolone wyjść na przyszły tydzień, ale piękna historia ciekawsza o wiele i Kaška zostanie w domu

przez całe popołudnie, aby dokończyć rozpoczęte czytanie. I z całym przejęciem się ważnością tej nadzwyczajnej chwili, Kaśka przystawia krzeselko do maleńkiego okienka, z którego pada skąpy promień światła. Nie jest jej tak widno jak kucharce pani hrabiny; ta ma wygodną kuchnię z szerokim weneckim oknem; ale cóż począć, okna już nie przerobić; trzeba dobrze oczy roztworzyć i starać się, aby światło na książkę padało.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.